Nr. 5 (442). Cena 1 zł. W Czechosłowacji 3·50 Kc. 28 stycznia 1933. Nal. poczt. opł. gotówką. Numer zawiera 24 stron. Rok X.

ŚWIATOWID

NA SKOCZNI W RABCE.



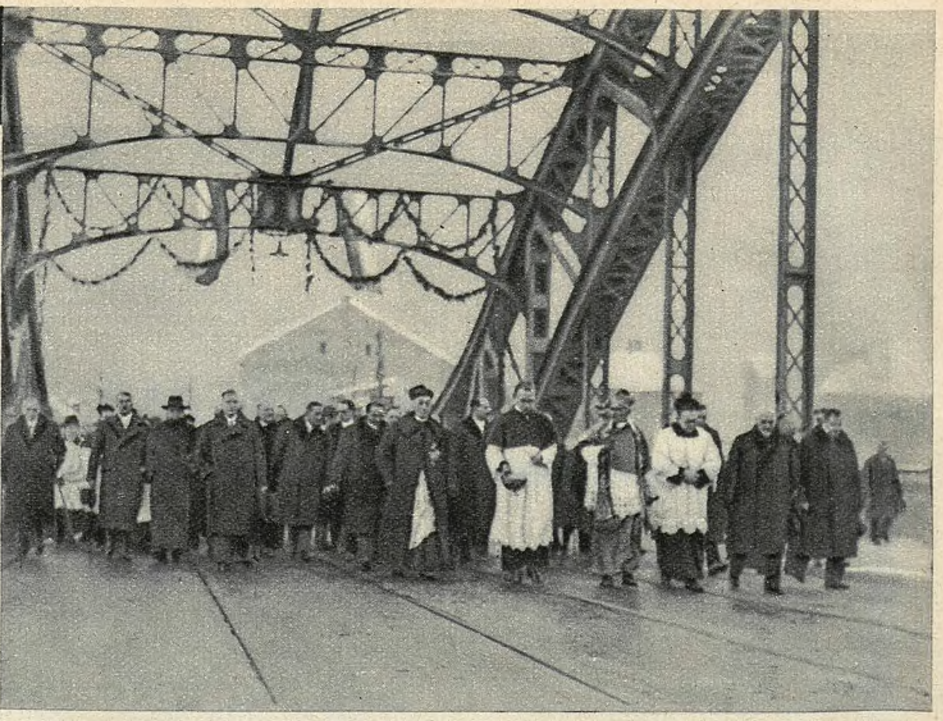
W ubiegłą sobotę i niedzielę odbyły się w Rabce zawody o narciarskie mistrzostwa okręgu podhalańskiego, przy świetnych warunkach śnieżnych i mroźnej pogodzie. Na zdjęciu Stanisław Marusarz w brawurowym skoku. Zdobył on drugą nagrodę. Bliższe szczegóły na str. 6—7. Ag. fot. „Światowid".

ECHA TYGODNIA.

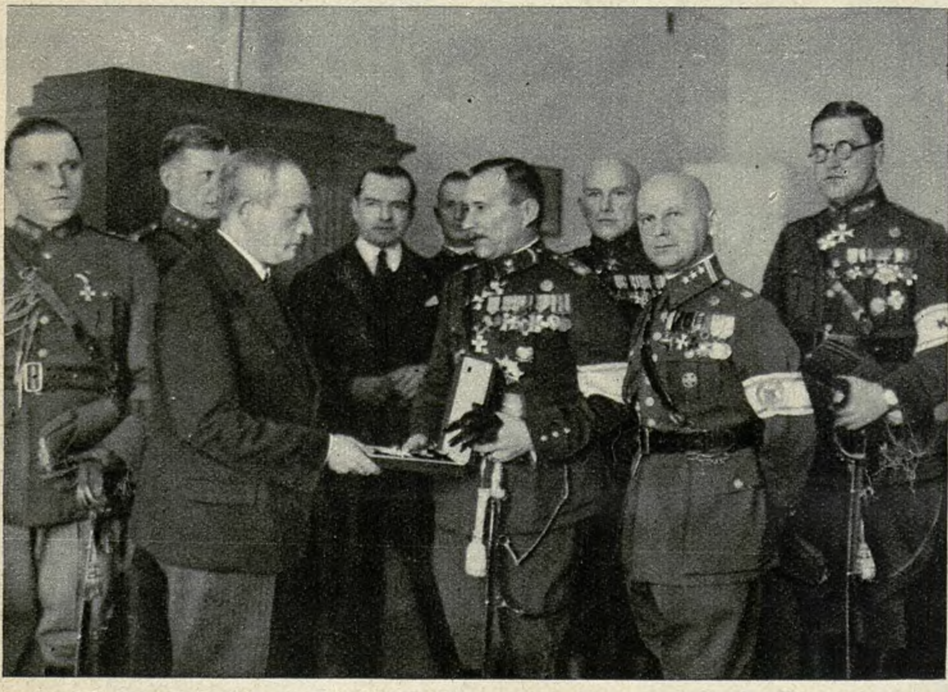


KARNAWAŁ WE WILNIE. Wilno słynęło jeszcze przed wojną ze świetnych bali, które skupiały w karnawale elitę ziemiaństwa kresowego. Zgodnie z tą tradycją i dzisiaj Wilno bawi się ochoczo, z tą tylko różnicą, że podupadłe wskutek kryzysu ziemiaństwo zastąpili urzędnicy i oficerowie. Na zdjęciu uczestnicy zabawy w kasynie 6-go p. p. Legjonów w Wilnie.

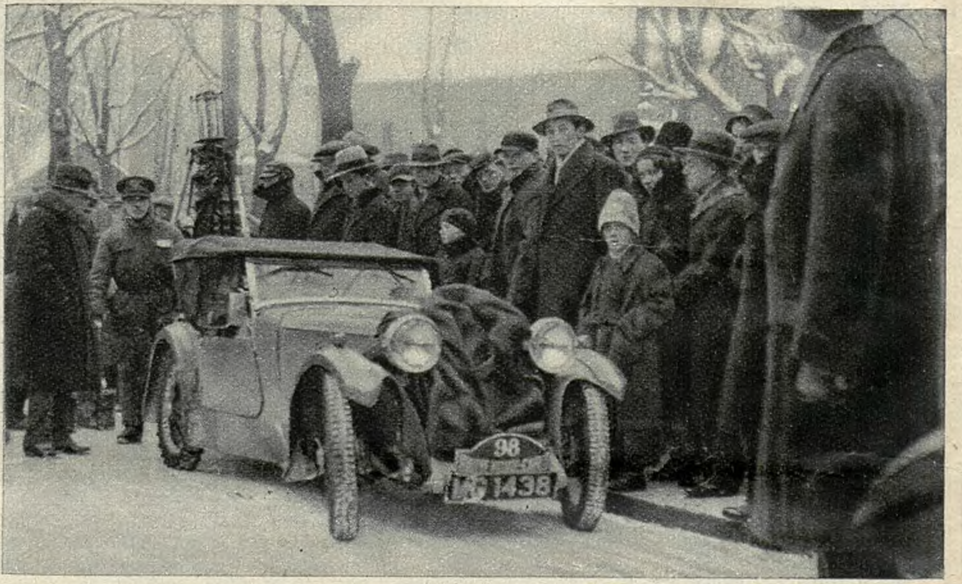
Fot. Antoni Skarjat — Wilno.



NOWY MOST W KRAKOWIE. Otwarto go w ubiegły czwartek. Jest on konstrukcji żelaznej i łączy Kazimierz na przedłużeniu ul. Krakowskie z ul. Legjonów w dzielnicy Podgórze. Kosztował dotychczas 3 miljony zł. Aktu poświęcenia dokonał książę Metropolita krakowski ks. dr. A. Sapieha. Rząd reprezentował wiceminister komunikacji inż. Gallot, oraz wiceminister Opieki społecznej dr. Piestrzyński. Na zdjęciu grono dygnitarzy wchodzi na most po przecięciu wstęgi przez ministra Gallota.



GOŚĆ ESTOŃSKI W POLSCE. Dnia 21 b. m. przybył do Warszawy komendant główny estońskiej obrony narodowej „Kaitseliit“ gen. Johannes Roska i był podejmowany przez władze wojskowe i przez Związek Strzelecki. Na zdjęciu gen. Roska (w pośrodku), wręczający prezesowi Strzelca mecenasowi Paschalskiemu wysoki order estoński.



AUTOMOBILOWY ZJAZD GWIAŹDZISTY DO MONTE CARLO. W tych dniach przejeżdżali przez Polskę zawodnicy, biorący udział w zjeździe gwiaździstym do Monte Carlo, którzy wystartowali bądź to z Rumunji, bądź też z Estonji. Zatrzymali się oni kolejno we Lwowie, Warszawie i Krakowie. Drogę mieli bardzo ciężką z powodu zasp śnieżnych i ogromnych mrozów. Sześć maszyn utknęło na terenie Rumunji. Na zdjęciu wóz M. G. Lacrose'a (Anglja). Ma on motor o pojemności 1.600 cm³, rozwija szybkość ponad 180 km. na godzinę i zdobył rekord w tej kategorji wozów w Palm Beach.

MIGAWKI WARSZAWSKIE.

PO GODZINIE DZIESIĄTEJ WIECZÓR.

Ktoś zrobił spostrzeżenie, że w Warszawie, albo raczej w Warszawce kryzys szaleje — tylko do godziny 10-tej wieczorem.

Przez cały dzień narzekania i protesty wekslowe, licytacje i likwidacje, redukcje i egzekucje...

Gotówki niema... Nikt nikomu nie płaci... Kryzys jest tak wielki — że wedle krążącego dowcipu — najgrubsze ryby finansowe kochają się w własnych żonach...

I nagle, jakby na jakieś dwie godziny przed północą dokonywa się cudowna przemiana... Zaczynają się zapełniać dancingi, restauracje, kabarety stolikowe, bary... i po 12-tej w nocy w lokalach rozrywkowych trudno o stolik...

Tłoczą się dłużnicy i komornicy, licytanci i defraudanci, zredukowane mężatki na wydaniu i bezrobotne kokotki, ci, co nie płacą i ci, którym nie płacą, grube ryby i niebieskie ptaszki, fordanserzy, reżyserzy, hochsztaplerzy...

A muzyczka gra... Tu Melodysta... tam Karasiński i Kataszek... ówdzie Gold i inni...

„Jesienne Róże“, „Czy ty mnie kochasz aniele mój“, cygańskie romanse — zawsze modne w Warszawie — i powracające straussowskie walce...

Zdarza się, że ten, kto nie wykupił weksla na 50 złotych — pije Martela do majonezu z łososia, a po „melbie“ z ananasem czarną kawę z francuskiemi likierami...

Jak to się dzieje — czy to wiadomo?... To już tajemnica Warszawki, która nieraz zresztą znajduje wyjaśnienie w krótkich notatkach w kronice kryminalnej i w obszernych sprawozdaniach z sensacyjnych spraw sądowych... Albo ewentualnie — z rubryki licytacyj— dowiadujemy się, że meble hrabiego Z. sprzedane będą za 10 tysięcy złotych, że popularnemu „gwiazdorowi“ licytuje się garderobę i tapczan, że auto pięknej, wytwornej pani sprzedane będzie z licytacji dnia tego i tego...

Nikt się tak bardzo zresztą temi licytacjami nie przejmuje — bo kto kupi?... Jakoś to się załatwi, a potem znowu „cocktaile“ w dancingu i kolacja z łososiem i kawiorem w modnym barze...

Przed nocnymi lokalami rozrywkowemi — czekają żebracy, kalecy, przekupnie, sprzedający cukierki, zapałki, baloniki i zresztą wogóle, co się da...

Snują się handlarze narkotyków, właściciele „lotnych“ szynków i stręczyciele do nierządu.

Ktoś w mroźną noc styczniową przykucnął we wnęce kamienicy i śpi... Tuła się dziecko bezdomne...

Chodniki zalegają istoty uszminkowane, trzęsące się z zimna, a z ich podczernionych oczu wyglądá głód...

Jakaś kobiecina w podartej watówce kroczy z koszem...

— Świeże obwarzanki!... rogale!... placki!... pampuchy!...

Wokół piecyka ulicznego sprzedawcy gorących kiełbasek cisną się głodni i ziębnięci...

— „Forsa“ z góry — mówi przekupień — inaczej niema!... Połknie odrazu i co mu po tem zrobisz!...

Dorożkarze i szoferzy posilają się gorącą kawą, roznoszoną w blaszankach. Oni to czekają przez całą noc — do rana na gości, powracających z zabawy... Często czekają naprożno, bo Warszawiacy nauczyli się oszczędzać na komunikacji...

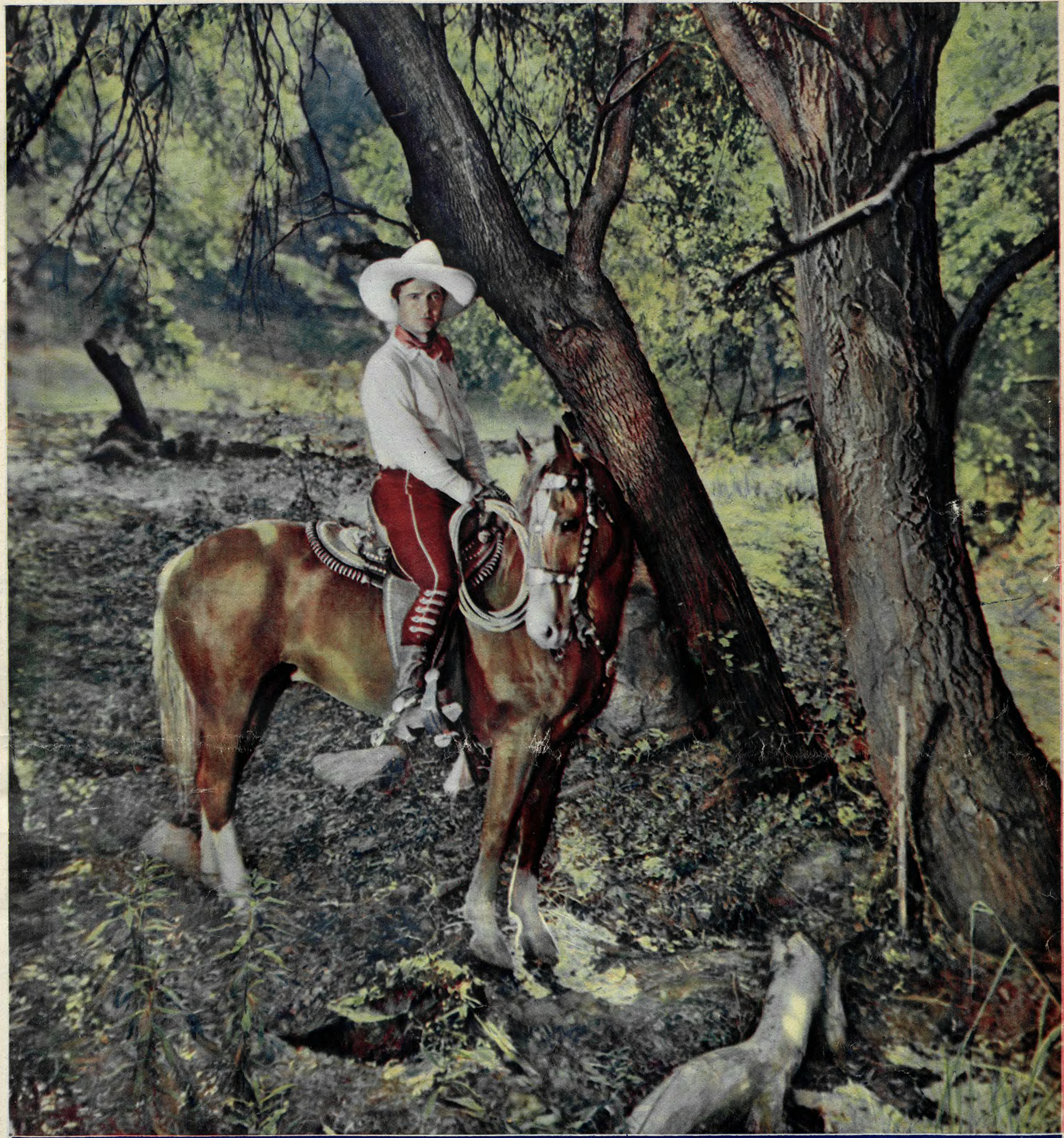
Ten sam, który zapłacił duży rachunek w dancingu — czeka cierpliwie marznąc na przystanku — na tramwaj nocny... Albo już przesiedzi w knajpie do 6-ej rano i wraca do domu tramwajem normalnym lub autobusem...

To też zarówno dorożkarze konni, jak i szoferzy taksówek skłonni są do daleko idących ustępstw... Dorożkarz za dwa kursy bierze tyle, ile za jeden należy się wedle taryfy, a szofer zamiast za nocną taksę — jedzie wedle kursu dziennego...

Byle zarobić — bo jeszcze w nocy jako tako...

A jak trafi się dobrze „podgazowany“ gość — to można mu policzyć podwójnie. W najgorszym razie nie zapłaci...

J. Migowa.



TOM MIX SPADŁ Z KONIA.

Znany artysta filmowy, znakomity cowboy Tom Mix.
Photo by Adolf L. Schafer.

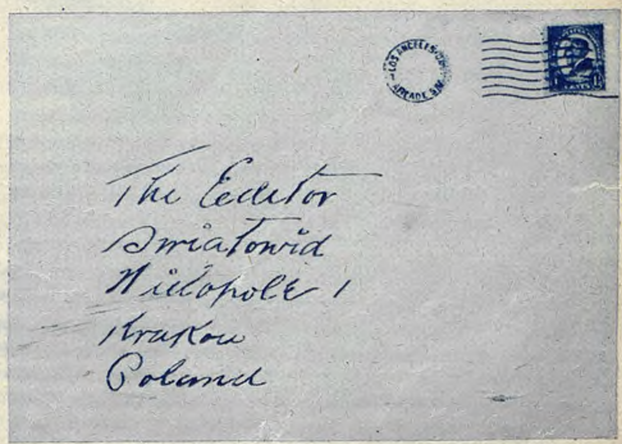
Stała się rzecz nieprawdopodobna! Tom Mix, nieustraszony cowboy, bohater Wild West'u i marzeń młodzieńców w wieku od lat 12—15, spadł z ognistego rumaka i poniósł podobno przykre uszkodzenia. Wiadomość ta musiała się wydać czemś niesłychanem dla entuzjastów Toma Mixa na obu półkulach: bożyszcze chłopców, marzących o awanturach, fantastyczny jeździec, wyrzucony został z siodła, z którem zdawał się być nierozłącznie zrośnięty!

Popularność Toma Mixa nie zbladła bynajmniej pomimo powstania dźwiękowców i filmów mówionych. Inni wielcy „gwiazdorzy" Hollywoodu odeszli w odstawkę z chwilą, gdy okazało się, że nie mają pięknego głosu i że nie odpowiadają warunkom nowej sztuki kinowej. Tom Mix natomiast oparł się zwycięsko wszystkim modom i dalej bawi młodocianą publiczność swojemi awanturami na dzikim Zachodzie. Dalej pojawia się w galopie na prerji, dalej chwyta na lasso swoich przeciwników, strzela z kilku rewolwerów w powietrze, unika kuli, sztyletu, ratuje pognębione dziewice, gromi bandytów itd.

Schemat filmów z Tomem Mixem jest prawie zawsze jednakowy, pełen ruchu, awantur, strzelaniny, porwań, nocnych napadów itd. Zawsze są tam typy czarne, jak smoła i białe jak śnieg, zawsze czai się za węgłem jakiś opryszek o ohydnej twarzy i zawsze popłakuje jakaś niewinna, jak lilja, dziewica. W tem wszystkiem króluje Tom Mix, nieustraszony jeździec i strzelec, w zawadjackim kapeluszu, na rozhukanym „mustangu", czyli rumaku rasy meksykańskiej.

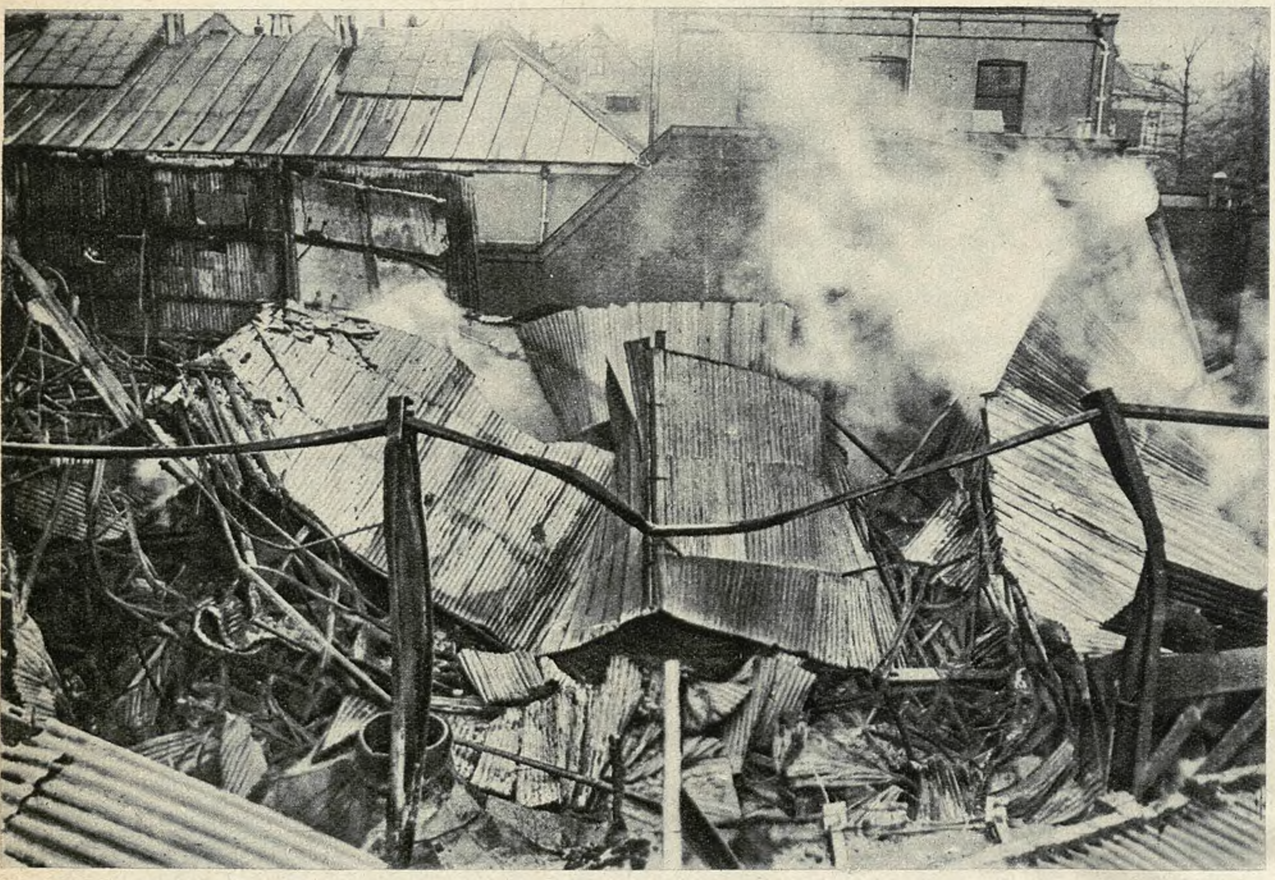
Jest nam szczególnie miło, że popularny artysta filmowy pamięta o naszem piśmie i przesłał nam z dalekiej Kalifornji życzenia noworoczne. Dowodzi to, że „Światowid" czytany jest i oglądany na całym świecie. My ze swej strony życzymy sympatycznemu artyście szybkiego wyzdrowienia i dalszych sukcesów filmowych!

z. g.



Koperta z listu Toma Mix'a do redakcji „Światowida" w którym znakomity artysta złożył naszej redakcji życzenia noworoczne.

POŻAR NAJWIĘKSZEGO TEATRU W HOLANDJI.



Dogasające zgliszcza po pożarze teatru „Arena“ w Rotterdamie. *R. Sennecke.*

W nocy z niedzieli na poniedziałek strawił pożar teatr „Arena“ w Rotterdamie, zamieniając go na kupę gruzów. Natychmiast przybyła straż pożarna, nie zdołała jednakże szybko opanować szalejących płomieni. To też pomimo energicznej akcji ratunkowej o godz. 5-tej zawaliła się kopuła teatralna. W pięć godzin później, największy teatr w Holandji był już wypalony prawie do fundamentów.

Teatr „Arena“ był dzierżawiony przez berlińską Scalę i wystawiano w nim operetki. Ostatnio miała właśnie iść „Vendetta“ z której czyniono próby. Jak wszystkie teatry teraz na świecie, i „Arena“ nie robiła świetnych interesów, ale raczej wegetowała. Kryzys teatralny nie oszczędził i Holandji.

OBRAZKI

»NA PROMENADZIE«.

EDWARD BIŁOBRAN.

Dwa długie rzędy kamienic, z aleją młodych topol w pośrodku, to ulica Akademicka, promenada Lwowa i miejsce codziennych pielgrzymek lwowskiego światka.

Przelewa się rzeka ludzi, z jednego końca na drugi, odbija jak fala od brzegu i wraca. Skrzą się sklepowe światła, wabią i nęcą ku sobie. Biją żywiej młodociane serduszka, na widok bajkowych cudów wystawy Zalewskiego. Niejasny ich obraz gdzieś... kiedyś... później... w sennych marzeniach niepokoi dziecięce umysły małych obywateli Lwowa.

Toczy się barwna wstęga, hojnie wyposażona w typy i typiki. Z pod kres. małych kapelusików, padają szybkie, zaczepno odporne spojrzenia w kierunku wytwornych habigów, dostojnie płynących z prądem. Prężą się watowane bary, czasem przewinie smukła sylwetka oficerska, większość jednak, to nieokreślonej broni cywile, niby jakieś pospolite ruszenie z laskami i parasolami w ręku. Akademicy, nieakademicy, korporanci, sportowcy, studenterja obojga płci itd. Ta bezładna zbieranina, to jednak element stuprocentowej beztroskiej młodości. Tu brak gotówki nie odgrywa większej roli. Pryskają kaskady bujnej radości i śmiechu, górując w ogólnym gwarze ulicy.

Z hukiem przejechał, na „Arielu“, wzdłuż chodnika, jakiś świeżo upieczony motocyklista, zdając się nie dostrzegać ogólnego szacunku, jaki wzbudzał nowym motorem i napół zielonemi okularami. Wstrzymany przez znajomych, nie zsiadając z motoru, rozprawiał z nimi na temat „ale ciągnie, powiadam wam, kiedyś tutaj...“ Wdzięczni słuchacze kiwali z uznaniem głowami, oglądając z minami znawców zegary, syreny, opony i trąbkę.

Niedaleko znów od nich, na krawężniku chodnika, gromadka małych kolporterów zabawiała się zawzięcie popularnem jo-jo, tamując ku zgorszeniu przechodniów, ogólny ruch uliczny. „Co tu jest, rozejść się!“ — spadło na nich jak grom z jasnego nieba. To marsowy policjant usiłował rozprószyć małych demonstrantów.

Szybko znikło kilka jo-jo, wraz z ich właścicielami, po to, aby w odległości kilku kroków od miejsca poprzedniego walnego zgromadzenia, znów zadziwiać spacerowiczów niebywałą precyzją ruchów. Jeden z brzdąców nie poszedł jednak śladami towarzyszy, lecz... z udanem przerażeniem przewrócił oczami na imponującą postać przedstawiciela władzy. „Ach, to tylko policjant“ — uspokoił się z miejsca. Z flegmą zawinął starannie sznurek na drewniane kółeczko, chowając je z szelmowską miną do czeluści przepastnej kieszeni.



Ulica Akademicka, główna promenada Lwowa.

Policjant zadowolony wywartem wrażeniem, łaskawie spoglądnął ku malcowi, olbrzymie wąsiska obwisły mu życzliwie w dół, a w oczach zabłysły wesołe iskierki. W chwilę potem w najlepszej komitywie, żywo rozprawiając na temat, zdaje się najnowszych kierunków ludzkości, znikli wśród tłumu.

Całkiem niezrozumiałem i bezcelowem wydało się z pewnością małemu, grubemu buldogowi to kręcenie po ulicy. Lecz cóż, wola pani. Trzymany krótko na linewce, z rezygnacją kroczył ostrożnie, śląc tęskne spojrzenia przez las nóg, ku wolnej przestrzeni na środku jezdni. — „Ach, ci ludzie...“ — przebiegł mu bolesny skurcz po murzyńskiej fizjognomji, na widok towarzysza niedoli, który podobnie jak on... Długo jeszcze potem błyskał poza siebie białkami, ha... siła wyższa.

Jakiś kwadratowy sportowiec w grubej kurtce, narciarskich skarpetach i butach, w beretce i z fajką, stąpał samotnie wśród tłumu. Bruk kamienny zdawał się uginać pod jego ciężkiemi krokami i naciskiem conajmniej czterdziestego piątego numeru buta.

Nad wejściem do „Zakopanego“ wiszą szare zające. Kartka smętnie przypięta do ogona obwieszcza, iż powyższe zwłoki są do nabycia w wymienionej firmie w cenie 3 zł. bez skóry. O biedne szaraki! Za jakież zbrodnie wystawiono ciała wasze na hańbiący widok publiczny na lwowskiej promenadzie?

Niebaczny tłum ludzi przelewa się bez końca, nic go nie wzrusza, nawet tak niska cena.

Cóż jednak za rozkaz skupił tych ludzi pod jedną banderą? Co za siła uplotła z nich długi i czarny, wijący się warkocz?

To ucieczka z szarugi codziennego życia, to odwieczna, ludzka tęsknota za radością, za szczęściem. Szukają siebie nawzajem, cieszą się jak dzieci tem wszystkiem, co ich otacza, znika smutek, giną gdzieś troski i tylko złoty blask życia rozświetla im drogę na dalszą szarą wędrówkę.



Dzieci na ul. Akademickiej interesują najbardziej wystawy z łakociami, panów natomiast piękne buzie i nóżki. Najstarsze roczniki — handelki śniadankowe, z których słynie Lwów. *Zdjęcia E. Olszanieckiego — Lwów.*

NA GRANICY SOWIECKIEJ.



Brama powitalna na stacji sowieckiej w Niegoreloje z napisem „Priviet raboczim Zapada“, co znaczy „Pozdrowienie pracującym Zachodu. *„Unionbild“ — Berlin“.*

(Korespondencja własna „Światowida“).

Stołpce, w styczniu.

Baranowicze—Horodziej—Stołpce. Kurjer przebiegł tę przestrzeń jednym tchem i oto zdyszany ciężko sapie u dworcowego peronu. Podróżnych niewielu. Tu i ówdzie ktoś wysuwa się z ciepłych i ogrzanych wnętrz wagonowych. Kilku jegomościów i jedna niewiasta, wysiedli na chwilę, zdążając do stacyjnego bufetu. Rozsiadają się za stołem, nakrytym obrusem o nieskalanej bieli. Hałaśliwie wzywają kelnera, mimo, iż jest on — i już czeka na obstalunek.

— Jeść — polecają po rosyjsku — dobrze zjeść!

Sowiecka dyplomacja powraca do Moskwy. Przed powrotem woli dobrze zjeść, może w tym celu, żeby tem bardziej... utrwalić w sobie nienawiść do wszelkiego burżuazyjnego ustroju? Tam w Z. S. R. R. ideowej strawy komunistycznej nie poskąpi im nikt... Ze zwyczajnymi żołdakami bywa gorzej! Dlatego widocznie z takim smakiem jedzą i jedzą, jakby na zapas. Kto wie, jak prędko Kreml im udzieli nowej delegacji „do Europy“?

Piskliwa dotąd bolszewiczka umilkła. Cała jest pochłonięta konsumowaniem dużej porcji zrazów z kaszą. Popija też nieźle. Butelka wódki, podana do stołu, już świeci dnem, mimo, iż przy unicestwianiu alkoholu pracowali tylko ona i oni trzej. Dama ani na krok nie ustąpiła towarzyszom... Proletarjacka równość towarzyszki i towarzyszy święci widomy triumf. Wreszcie znikł ostatni kęs. Wyschła ostatnia kropla. Sygnał: — „Do wagonów!“ Podnosi się i ta gromadka, lecz jakoś bez zapału, może nawet z odrobinką niechęci... Czyżby to polskie zrazy wywoływały ociężałość? Czy może?....

Znane są wypadki, że na towarzyszy dyplomatów, powracających z Zachodu, oczekiwali towarzysze czekiści już w Niegorieloje, na pierwszej stacji, po minięciu granicy. A potem — dalszy powrót kontynuowano w aresztanckich wagonach. Jeśli zaś nawet do Moskwy udało się dojechać bezpiecznie i bez niespodzianek, to raptem tam, już na „Wiazemskim Wogzale“ (dworcu wiazemskim), ni z tego ni z owego przystępował agent:

— Towarzysz (ka) pozwoli ze mną do Gławnogo Politiczeskawo Uprawlenja („Czeki“).

— A rzeczy moje?

— Zajmiemy się i niemi... Przydadzą się i nam... Przecież w Z. S. R. R. nie obowiązuje prawo o spadkobraniu... Krewnych zawiadamiać nie będziemy... Kto pierwszy, ten lepszy...

Polski skład wagonów wyrusza w kierunku Kołosowa. Czternaście kilometrów jazdy szybko mija. Stop!

Tam oto, w wyrwie, za drutami kolczastemi widnieje „brama triumfalna“ i sążnisty napis krzyczy niemal głośno: — „Priwiet raboczim Zapada!“, co po polsku znaczy: — „Pracującym z Zachodu pozdrowienie!“

Brrr... niejeden robotnik, wzięty na tę przynętę, żegnał się z Sowietami jeszcze skwapliwiej, niż witał. Uciekał tem szybciej, że już nie przez oficjalnie gościnną bramę, ale nocami i przez bagna. Mimo zaś, iż powrotu na Zachód chciał dokonać możliwie incognito, goniły go kule — może wyrzucane na wiwat?

W Kołosowie żołnierze z K. O. P., konwojujący dotąd pociąg, schodzą pospiesznie. Pociąg rusza, żeby raz jeszcze przystanąć już zagranicą. Opada go mrowie długich „szyneli“ (szare płaszcze żołnierzy rosyjskich), zalewa, przenika do wewnątrz. Polska służba kolejowa, która wyjazdy pociągu naszego odbywa stale, nie może się jakoś do tego przyzwyczaić:

— Niech ich licho porwie! Niby wiadomo, że człowiekowi nic nie grozi, ale za każdym razem czuje, jakby mnie nagle mrówki oblazły...

Pociąg zniknął w dali. Nawet dym po nim zginął. Zostaliśmy w naszej strażnicy. Ponad domostwo wyrasta niewysoka wieża, na której czuwa straż. Gdyby tak komuś zechciało się siłą wtargnąć na polskie terytorjum, na wieżyczkę można łatwo wciągnąć karabin maszynowy i grać na nim do śmiertelnego taktu wrogom Rzplitej!

To też, tutaj, nikt się nie kwapi z forsowaniem granicy. Tutaj jest wszystko i zawsze strasznie „korrekt“, a jakże — dygi wzajemne i wzajemna wymiana wszelakich komisyj, przyjmowanych tu i tam z namaszczeniem. Tam kawiorek na powitanie. U nas sielawka. Trzeba się znać na sąsiedzkiej grzeczności w stosunku do Bolszewji, choć czujne oczko, baczące ciągle: — „a co tam sąsiad kryje w kieszonce, czy czasem nie „spluwę“? — nigdy nie zawadzi...

Właściwe życie graniczne cyka sobie gdzieindziej, na północ i na południe, od reprezentacyjnego przejścia. Tam nikt nie nosi rękawiczek od parady. Tam, co krok, to — łap za kołnierz:

— Skąd i kto?

— Z piekła uciekłem, ledwie z życiem uszedłem, bo dręczyli okropnie, żeby ich piorun wytłukł wszystkich pokolei...

— Kogo?

— Naturalnie, że komunistów, oj, dali mi się we znaki, dali...

Sentymentalne serduszka radeby uwierzyć odrazu. K. O. P. nie ma tak miękkich uczuć:

— O tem, potem, kochanku, teraz zaś pokaż kieszonki, i tobołek, i szwy, i obcasy... Hm... a to co nieboraku? Tajny szyfrzyk? Depeszka? Konkurencję naszej poczcie starasz się robić, łobuzie? „Kominternowi“ przemycasz nieoficjalne liściki, w wydrążeniu zwyczajnego kijaszka, niesionego ot tak sobie, niby obronę przed złemi psami? Niepotrzebne kochasiu. W Polsce psy na uwięzi, takim jak ty i bez psów damy radę...

Czasami, gdzieś wśród zapadłej głuszy, w głębi zatęchłej puszczy, gdzie jeno patrole żołnierskie docierać muszą bez względu na pogodę, — alarm, strzelanina — łup-łup — i granat ręczny trzaśnie znienacka — łłuuubbb! Na nogi porywa się załoga najbliższej strażnicy, szczękają bronie, młodzież żołnierska gotowa biedz, na złamany kark, na odsiecz, w kierunku strzelaniny. Wtedy wytrawny podoficer, aż się zanosi od śmiechu!

— Nie tędy, ale w wprost przeciwną stronę idziemy: W butlę radziby nas wpakować właśnie tam, gdzie strzelają! Tymczasem to łajdactwo usiłuje przejść granicę gdzieindziej, o — my wiemy którędy... Za mną chłopcy, biegiem marsz!

Czasami, kiedy w noc ciemną deszcz siecze drobny i dokuczliwy i patrol nasz sunie przemokły do nitki, naraz, jak z pod ziemi wyrastają widma:

— Zdajsia (poddajsie) Poliaczok i tak ci nic nie pomoże!

Oni jednak próbują. Wtenczas — sztych na sztych, kolba z kolbą zwiera się zawzięcie, trzeszczą kości, bagnety smakują wiernej krwi, ale — wróg odparty! Słota szybko zmyje krwawe ślady i depesza nie zdąży dojść do Warszawy, gdy kompanje graniczne meldują bat[illegible], i one brygadom:

— Już wszystko w po[illegible] ciężko ranny, lecz się wyliże. Za to z Bartkiem Grzędą gorzej, dwóch trupem położyli, trzech zaś ciężko ranili. Ilu z życiem ujść zdołało, nie wiadomo...

Ładna, grzeczna, według prawideł i przepisów granicznych wymiana pasażerów między obu państwami odbywa się na linji kolejowej. W pociągu prawie zawsze wszystkie dowody są w porządku: „na wjazd“ i „na wyjazd“. Za to w pogranicznem miasteczku, np. w samych Stołpcach: — „o, znowu kogoś nakryli?“ Rzemiennym dyszlem, trochę konikami, trochę piechotką, wędrował defraudant aż z Łodzi, albo z Krosna, żeby cichaczem i nocką przedrzeć się do Z. S. R. R. Tak już bowiem, jakoś się utarło, że kto się przekradnie w kraju, radby do „czerwonego raju na wilegjaturę“... Chwycono go, gdy na nocleg przybił do jednej z chałup na przedmieściu... Jak na każdej granicy są też i przemytnicy. W dzień czcigodni i zacni, choć do rany ich przyłóż, wieczorkiem — kawiorek astrachański radziby przeszwarcować, i marynatki, i karakułki, i brylancik ten i ów: — „trzeba żyć, kiedy kryzys jest na świecie!“

Plewa ludzka — plewą. Nigdzie i nigdy jej nie brak. Ale poza tem miasto jest szanowne.

Rośnie w siłę i znaczenie, właśnie dzięki granicy. W miarę czasu i możności, polerują je władze, poleruje ludność. Domów wyrasta coraz więcej. Powstają całe nowe dzielnice, w małym hotelu miejscowym: — „wodę ciepłą i gorącą zawsze można dostać, od kiedy tym ministrem był generał Składkowski... Pan go znał, panie redaktor? Co on za człowiek jest, że on się tak okropnie lubi myć?“

Elitę stanowi w Stołpcach starostwo, sąd i przemożny, lśniący od czystości, grzeczny, ale nieludzko czujny K. O. P.

— Oni? — opowiadał mi dorożkarz, wiozący moją skromną osobę na nocleg ze stacji do miasta — oni wiedzą, jak kto piszczy! Phi... Oni nawet tak dobrze wiedzą, że zanim ktoś usta otworzy, żeby sobie gwizdnąć, to zaraz już są i powiadają: — „tylko ja pana, panie Taubwurcel, bardzo proszę, bez kawałów: Poco panu wchodzić w nieprzyjaźń z prawem, kiedy wszystko wolno, ale przez tamożnię (komorę celną)?“

Temu K. O. P. warto też przyjrzeć się zbliska. Przed niedawnym czasem, wraz z 40 więźniami, których wymieniono z Bolszewją, powrócił także porwany na granicy sierżant Szmid. Chciano mu dać urlop. Roześmiał się jeno:

— Sama służba będzie dla mnie odpoczynkiem! Nie pojadę nigdzie...

Tacy już są ci z K. O. P.-u.

Jędrek Słowik

ZAWODY O NARCIARSKI PRYMAT PODHALA W RABCE.





Przed startem skoków w Rabce. Zawodnicy debatują nad szansami konkursu. Od lewej: Gawlikowski, Marusarz Jan, Dawidek i Górski.

Publiczność na sędziowskiej trybunie, obserwuje z zainteresowaniem pierwsze skoki.



Na zeskoku rabczańskiej skoczni. Publiczność obserwuje konkurs — z boku powracają zawodnicy na start. Na pierwszym plan[...]isław Czech z nartami zmierzający na sz[...].

Po raz pierwszy w historji podhalańskiego okręgu narciarskiego — mistrzowskie zawody tego najsilniejszego w kraju ośrodka, odbyły się poza Zakopanem. Zorganizowane one zostały w największem zdrojowisku tej części Polski, w uroczej Rabce, która od kilku lat zaczęła prowadzić zimowe sezony, z polepszającemi się z roku na rok rezultatami. Pomysł „wędrownych" mistrzostw uważać trzeba za słuszny, gdyż w ten sposób wnosi się tak pożądane ożywienie w cały szereg miejscowości Podhala.

Zima, która tego roku niejedne szyki popsuła narciarzom, okazała się dla podhalańskich mistrzostw w Rabce względnie łaskawą. Wprawdzie pokład śniegu nie był taki, aby mogło się obyć bez złamań nart — na szczęście bez szkody dla zawodników — ale zawody miały w każdym razie piękną oprawę śnieżną. Szczególnie uroczym był niedzielny dzień, w którym rozstrzygało się mistrzostwo.

Dzięki zawodom odbytym w Rabce — powszechne zainteresowanie zwróciło się na to wspaniałe zdrojowisko, które niezależnie od znanych swych właściwości leczniczych, okazało się pierwszorzędnem centrum sportów zimowych. Niewątpliwie po tym początku, przyjdzie dalszy rozwój Rabki, jako poważnego ośrodka sportu zimowego w Polsce.

Mistrzostwa podhalańskie były wspaniałą manifestacją narciarskiego sportu. Wiadomem jest, że pod względem poziomu sportowego mistrzostwa podhalańskie nie wiele różnią się od wielkich mistrzostw Polski, startuje w nich bowiem elita polskiej ekstraklasy, zgromadzonej przeważnie w Zakopanem. Na starcie zawodów w Rabce zjawili się prawie wszyscy najlepsi zawodnicy zakopiańscy, którzy mieli coś do powiedzenia w sporze o tytuł najlepszego narciarza okręgu.

Program zawodów obejmował bieg zwyczajny na przestrzeni 16 kilometrów, skoki, kombinację i zawody młodzików. — W biegu senjorów, zwycięstwo bez trudu odniósł najznakomitszy nasz zawodnik Bronisław Czech, jeden z najlepszych narciarzy kontynentu. Wyprzedził on znacznie doskonałego Górskiego, Marusarza Stanisława, Nowackiego i wielu innych. Jeden z najpewniejszych biegaczy kraju, a mianowicie Berych Władysław, znalazł się dopiero na szóstem miejscu. Zaznaczyć jednak należy, że zawodnik ten uległ na trasie wypadkowi złamania nart i ze znacznym trudem doszedł do mety na jednej narcie, budząc tem uznanie dla swej wytrzymałości. Podobnemu zresztą wypadkowi uległ znany zakopiański biegacz Skupień Stanisław.

Mistrzostwo rozstrzygnęło się w t. zw. biegu złożonym, zadecydowały więc o niem skoki, odbyte na niewątpliwie trudnej, wymagającej dużej ostrożności skoczni na Grzebieniu. W niedzielnym konkursie skocznię rabczańską prawie całkowicie „przeskoczono", gdyż uzyskaną na tej skoczni odległość 39 metrów, uznać trzeba za maksimum długości, jaką na tej skoczni można osiągnąć.

Zaszczytny tytuł mistrza Podhala zdobył Bronisław Czech, którego skoki nacechowane są wyjątkowym spokojem i opanowaniem stylu. Stanisław Marusarz, zeszłoroczny mistrz Polski, znalazł się na drugiem miejscu, podczas gdy trzecie przypadło w udziale dość nieoczekiwanie młodemu zawodnikowi Gabrysiowi.

Natomiast w otwartym konkursie skoków, piękne zwycięstwo — czwarte zkolei w tym roku — odniósł Łuszczek, który w tym sezonie, podobnie jak u schyłku zeszłego, zwraca uwagę doskonałością formy, brawurą i pewnością.

Kombinacja junjorów potwierdziła, że młodziutki Giewont Adam znajduje się nadal na czele przyszłych asów i jest najlepszym w młodej generacji zawodników.

St. Faecher.



Mistrz Podhala na rok 1933 Bronisław Czech, w nieskazitelnym, jak zawsze stylowym skoku, na trudnej skoczni w Rabce.

Z POLOWAŃ NA DZIKI.



Jesteśmy w pełnym okresie polowań zimowych. Brać św. Huberta poluje teraz przeważnie na lisy i dziki. Stare przysłowie mówi, że idąc na niedźwiedzia, trzeba gotować łoże, a na dzika mary, co ma oznaczać, że dzik jest bardzo niebezpiecznem zwierzęciem. Mimo tak groźnego ostrzeżenia, wypadki, aby dzik raniony rzucał się na człowieka są bardzo rzadkie. W Polsce ze szczególnej obfitości dzików słyną Kresy wschodnie, a przedewszystkiem Podkarpacie, począwszy od Babiej Góry, a skończywszy na Gorganach. Na zdjęciu p. Wiktor Brzeczka, zapalony myśliwy z Jeleśni (powiat Żywiec) z dwoma odyńcami, ubitymi w tamtejszych lasach.

Fotografja poniżej przedstawia p. majora Stanisława Wasilewskiego, który na polowaniu w Dąbrowicy (powiat sarneński) ubił odyńca wagi 157 kg. jednym strzałem na sztych (w łeb) z karabinu małokalibrowego kulą ekrazytową, co należy uznać za rzecz podziwienia godną.

Fot. por. A. Jodis.



REPORTAŻ ZE ŚWIATA.



KAŻDY DZIEŃ ZBLIŻA JĄ DO SZUBIENICY. Dnia 17 lutego zostanie stracona b. królowa piękności z Colorado, niejaka Winnie Ruth Judd. Jest ona córką kaznodziei i była żoną znanego lekarza dra Judd'a w Denver. W 1931 r. z niewiadomych pobudek zastrzeliła ona z nienacka swoje dwie najlepsze przyjaciółki Agnieszkę le Roy i chorą nauczycielkę Jadwigę Samuelson. Ciała ich zapakowała do kufra i wysłała do Los Angeles. W kilka dni potem zgłosiła się na stację i chciała te kufry odebrać. Urzędnicy zauważyli jednak, że z kufrów cieknie krew, kazali je więc otworzyć i w ten sposób zbrodnia została wykryta. Morderczyni próbowała popełnić samobójstwo, została jednak odratowana. Sąd skazał morderczynię na karę śmierci. Co ją skłoniło do zamordowania przyjaciółek, pozostaje tajemnicą.



„DZIEŃ POLSKI" W KARNAWALE NARODÓW" W CHICAGO. Dziennik „Chicago Daily News" urządza stale t. zw. „Karnawał Narodów" w olbrzymiej Civic Opera House, podczas którego poszczególne grupy narodowościowe w Chicago występują z produkcjami muzykalno-wokalnemi i choreograficznemi, walcząc o palmę pierwszeństwa. „Dzień Polski" w ostatnim karnawale wypadł wspaniale. Dowodem tego nader przychylne recenzje w prasie miejscowej i wypełniona po brzegi olbrzymia widownia. Wypadek, że widownia opery chicagowskiej była w zupełności wypełniona publicznością, zdarzył się w historji opery tylko dwukrotnie, raz w czasie koncertu mistrza Paderewskiego, drugi raz podczas „Dnia Polskiego". Na zdjęciu stoją od lewej: cenzor Związku narod.-polskiego adwokat p. Świetlik, generalny konsul francuski Rere Weiller, pani Devey, b. ambasador dr. T. Filipowicz, p. Charles S. Devey i p. konsul generalny dr. T. Zbyszewski.



TO JUŻ NIKOGO NIE DZIWI. Francuski pilot Mermoz dokonał na aparacie „Tęcza" rekordowego lotu z Paryża, przez północną Afrykę do południowej Ameryki, gdzie wystartował w miejscowości Natal w Brazylji. Następnym etapem jego podróży było Buenos Aires. Cóż jednak znaczy ten wyczyn wobec włoskich projektów dokonania lotu naokoło świata przez eskadrę złożoną z dziesięciu maszyn.



WIDMO REWOLUCJI NA SZYBIE SALI KONFERENCYJNEJ. Gdy nowowybrany prezydent St. Zjedn. Roosevelt odbywał w Nowym Jorku konferencję ze swoimi stronnikami z partji demokratycznej, zebrał się tłum, który usiłował wtargnąć do wnętrza gmachu. W walce wręcz (na zdjęciu), jaka wywiązała się z policją, wiele osób zostało ranionych, przywódców zaś tych demonstracyj aresztowano.

IRENA SZCZEPAŃSKA.

KARNAWAŁOWA WIZYTA.

Karnawał ziewał tego roku tak głośno i silnie, iż zdmuchiwał wszystkie piękne nadzieje i plany z nim związane.

Nawet pogoda przeżywała kryzys. Skutkiem tego panna Miki (zdrobniale od Monika) odpięła narty od nóg i postawiła je pod fortepianem, by obeschły z błota.

Dzwonek telefonu prześwidrował ją nawylot. W odpowiedzi na lepki od czułości głos przyjaciółki, wsunęła stromo na głowę beret, otuliła się w króliki przefarbowane na popielice i poszła na partyjkę bridge'a.

Tu miała zapaść decyzja, mogąca pozbawić pannę Miki wolności przynajmniej na dwa miesiące. Miano ustalić termin ślubu z panem Wiktorem.

Narzeczony był istotą uniwersalną. Nie znaczy to, by uniwersytet był głównem zainteresowaniem jego życia. Chadzał nań jako wolny słuchacz w wolnych chwilach od innych, bardziej intratnych zajęć. Był trenerem w tenisie, uczył jazdy na nartach i wypożyczał kolegom na godziny swój garnitur do konnej jazdy.

Panna Miki miała przyszłość przed sobą. W przyszłości miała odziedziczyć legendarny majątek po stryjecznej babce Hortensji.

Termin ślubu ustalono. Miał się odbyć w ostatki. Ostatki, to taki okres, w którym popełnia się już wszystkie szaleństwa. Taki jest już nastrój...

Panna Miki przygotowywała wyprawę. Pół tuzina koszulek sportowych do tenisa, lub wiosłowania. Cztery pary spodni, trzy wiatrówki i niezliczona ilość jumperków i sweterków własnej roboty. Na prezent ślubny otrzymała dwa wiosła i siatkę do koszykówki.

Pogodny rajd narzeczeński zmąciła nieprzewidziana katastrofa. Karkołomne skoki nerwów i rozbicie o barjerę rzeczywistości. Był to list. List z fantastycznym stemplem pocztowym na znaczku. Uderzała wciąż głową o słup nagiego faktu.

Babka stryjeczna Hortensja przyjeżdżała na karnawał!

Zgodnie z tradycjami rodzinnemi musi zobaczyć przyszłego wnuka. Musi ocenić, czy wart będzie wejść do rodziny.

Stryjeczna babcia Hortensja przyjeżdża na bal prasy!

Gdyby nagle paszcza smoka, na którym wspierał się fortepian, rozwarła się i połknęła pannę Miki, nie przeraziłoby to ją więcej.

Włosy panny Miki wykonywały kozły gimnastyczne! Jakby pochwyciła je w swe kleszcze elektryczna ondulacja.

Pamiętała jak przez sen babkę Hortensję. Jako mała dziewczynka jeździła do niej na wakacje. Musiała wówczas pieścić opasłe mięsem i litością mopsy starej panny. Babka jej była tą legendarną starą panną. Wcieleniem tego słowa, po którem usta trzeba płókać miętą...

Nawet portret jej wisiał w salonie panny Miki. Maleńki kapelusik na obronnych wałach fryzury. Kapotka z pelerynką dodawała jej kobiecości. Malarz umarł i nie zdążył omalować krzesła na portrecie. I babka Hortensja w dziwnej pozycji została uwieczniona.

Ostatnio dostała panna Miki dwie kartki z Paryża od babki. Obecnie musiała już wrócić z zagranicy, skoro tak zainteresowała się partją wnuczki.

Panna Miki nie miała ochoty pójść na bal. Lepiej czuła się w spodniach, niż w długiej sukni. Lepiej na wodzie, czy w powietrzu, niż na taflach posadzki. Kryzysowa toaleta oczekiwała ją cierpliwie. Panna Miki odpruła ojcu czarną podszewkę z pod futra. Wyświecona przez częste użycie, wyglądała teraz jak crepe satin. Ze starej, czerwonej, atłasowej kołdry powycinała piękne kwiaty, nalepiając je na sukni. Cienie na nich podmalowała ołówkiem do brwi. Pantofle, uchodzące w lecie za zamszowe, zostały przemalowane na złote.

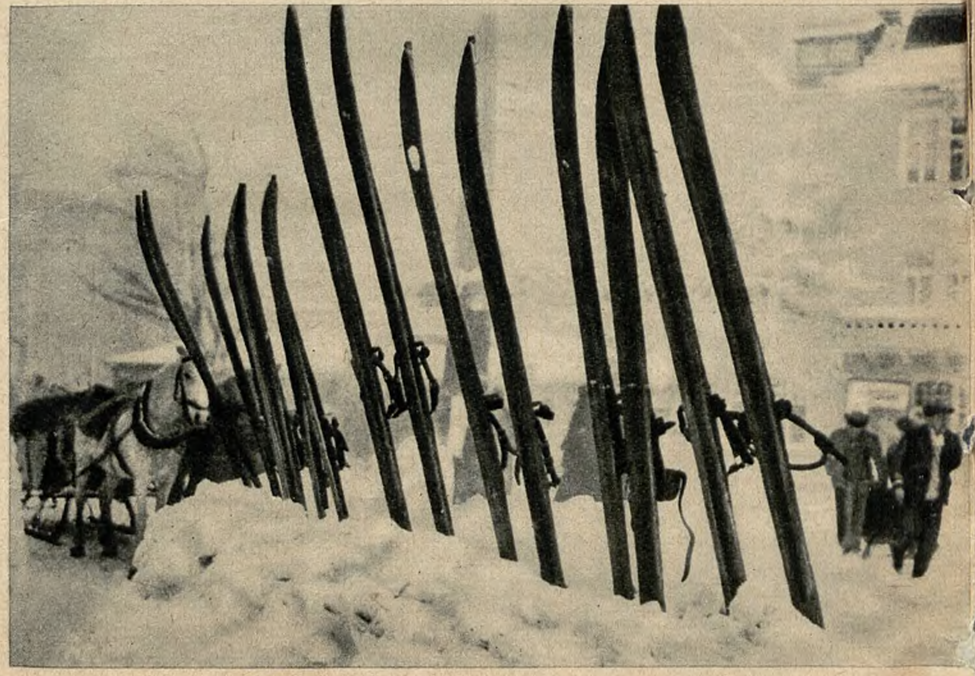
Stryjeczna babka Hortensja zajechała do hotelu. Nie chciała robić kłopotu swą osobą w ciasnem mieszkaniu.

Pan Wiktor w dniu balu zjawił się z miną nieboszczyka na urlopie zdrowotnym. Na bal pojechali ostatnim tramwajem.

W dużym hallu, pełnym świateł i luster, miała oczekiwać stryjeczna babka Hortensja.

Tu istotnie przystąpiła do nich pełna czaru i wdzięku dama. Gdyby mgły poranne zaangażowano jako girlsy do rewji, miałyby one wdzięk i wiotkość stryjecznej babki Hortensji. Siwa w młodości głowa, była obecnie splotem promieni słonecznych.

Gdyby babka Hortensja przyszła na bal w stroju ze starego portretu, nie zadziwiłaby swej wnuczki więcej niż w tej chwili. Panna Miki uczuła się garderobianą, wobec tej miss Europy.



Narty wbite w śnieg przed kościołem...

Babka Hortensja z wdziękiem akrobatycznej tancerki, pochwyciła ją w objęcia. Szepnęła jej przytem do ucha:

— Nie mów do mnie przypadkiem babciu Hortensjo! Nazywam się panna Ora.

Pan Wiktor czuł się jak zahypnotyzowany.

Narzeczoną posadził w kącie, jakby była podartym parasolem, a sam pochwycił pannę Orę w ramiona.

Panna Ora tańczyła bez wytchnienia. Jak przez sen widziała rzędy panien, zezowatych ze zmęczenia.

Wielbiciele stanęli przed nią długim szeregiem. Znalazł się nawet taki, który zaprosił ją na wodę sodową i to w dodatku z sokiem!

A porzucona w kącie panna Miki łykała tylko łzy z różowym pudrem.

Fama o wielkich posiadłościach panny Ory rosła jak długi po balu. Posiadała ona trzydzieści siedem siedemdziesiątych trzecich części majątku na kresach. Po spłaceniu dziesięciu rat i podatków zaległych za piętnaście kwartałów, panna Ora stawała się jedną z najświetniejszych partyj w kraju.

Wybór królowej karnawału był przesądzony! Panna Ora z dziewiczym rumieńcem zawstydzenia, przyjęła należny sobie sukces.

Pod koniec balu wyciągnęła z kąta swoją wnuczkę, zbolałą Miki.

— Drogie dziecko — rzekła do swej zazdrosnej aż do utraty przytomności wnuczki — przyjechałam, by poznać twego narzeczonego i ocenić, czy wart jest zaszczytu, jaki go spotka, że wejdzie do naszej rodziny. Oceniłam go należycie. Ja sama wychodzę za niego, by przyspieszyć ten moment. Ot poprostu dla zmiany nazwiska i stanu cywilnego.

— No, ale on... Wiktor... — wyjąkała panna Miki.

— Jego wogóle nie trzeba pytać! Zagranicą panują zupełnie inne stosunki niż u nas. Kto się pyta mężczyzn, czy chcą się żenić? Popełniałam stale w życiu ten kardynalny błąd...

* * *

Młoda para brała ślub w strojach narciarskich. Narty obite w śnieg przed kościołem czekały na nich. Przypasali je do nóg i pojechali w podróż poślubną.



Z ROZPACZY SIĘGNĄŁ PO REWOLWER. We Wiedniu popełnił samobójstwo stolarz Konrad Schober (na zdjęciu), z powodu trudności finansowych. Był on bratem znanego męża stanu i kanclerza dra Jana Schobera, który w powojennej Austrji odgrywał tak wielką rolę i zmarł przed niedawnym czasem na udar sercowy.



PTAK ŻELAZNY ŚMIERTELNIE RAŻONY. W porcie Plymouth w Anglji, hydroplan wojskowy przy startowaniu zderzył się z łodzią motorową i uległ zupełnemu zniszczeniu. Na zdjęciu hydroplan po katastrofie.



ŚMIERTELNA WALKA O ŻYCIE. U północnych brzegów Australji szalała ogromna burza, której ofiarą padło kilka okrętów. Najwięcej ucierpiały łodzie rybackie, którym orkan nie pozwalał dobić do brzegu. Na zdjęciu rozpaczliwa walka małej łodzi z szalejącym żywiołem morskim. Osadzie tej łodzi, już prawie omdlewającej ze zmęczenia, udało się dopiero po kilku godzinach dobić do przystani (na zdjęciu).

DYNASTJA MARUSARZY.



U stóp Tatr (na zdjęciu) rodzą się najlepsi polscy narciarze i narciarki. Wśród nich króluje obecnie dynastja Marusarzy, którzy wybili się na czoło polskiej elity narciarskiej.

Zakopane.

Wśród licznych i znanych rodzin góralskich w Zakopanem: Krzeptowskich, Tatarów, Bachledów, Gąsieniców, Wawrytków, — zasłynęła w latach ostatnich rodzina Marusarzy, gazdów z dziada pradziada osiadłych na Podhalu, posiadających grunta w Kościelisku, na Bystrem i pod Reglami. „Stary“ Jędrzej Marusarz jest od czasów Klimka Bachledy najwybitniejszym przewodnikiem tatrzańskim, członkiem komisji przewodników i od lat czterech wiceprezesem Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Lat 55-ciu a zaledwie na 45 wyglądający, rosły, krzepki i silny, doskonały narciarz i wspinacz, ceniony jest wśród szerokich kół turystycznych a znany z wielkiego doświadczenia i powagi, tak, że w przeciwieństwie do innych przewodników, nie opowiada anegdotek ani wesołych historyj.

Osada Marusarzy znajduje się na Żywczańskiem, po drodze do doliny Strążyskiej. „Siedzą“ tam i gazdują obok siebie dwaj bracia: ów właśnie Jędrzej — przewodnik, ojciec wybitnego zawodnika Andrzeja, oraz Józef Marusarz, którego synami są zawodnicy: Jan i Stanisław, mistrz Polski. Zastaję „starego“ Jędrzeja w słoneczne południe w domu, zbierającego się na wyprawę na Krywań z marszałkiem Sejmu Świtalskim. Jest w pełnym rynsztunku turystycznym, z liną i czekanem i torbą przewodnicką z blachą. Rasowa góralska twarz z niebieskiemi oczami, orlim nosem i sumiastym wąsem uśmiecha się do mnie przyjaźnie.

— Na Krywań się wybieracie Jędrzeju? A dawno tak chodzicie po górach?

— O, już trzydzieści lat będzie.

— Czy to wyście chodzili szukać Klimka Bachledy?

— Ja chodził z panem Zaruskim w 10-tym roku. 12 dni my tam siedzieli a sešć razy chodziłek na ściane (Małego Jaworowego) i ni mogliśmy naleźć, bo dysc loł strasny.

— A syn wasz chodzi także?

— Chodzi, już rok jest przewodnikiem.

— A dużo macie rodzeństwa i gdzie mieszkają?

— Trochu jest tu, a dwok braci i siostry zijom w Ameryce, dość im tam dobze.

Robię zdjęcie miłego górala i idę do przyległego domostwa brata. Zastaję tylko rodziców, bo młodzi mistrze uganiają na nartach pod Reglami. Trenują pod kierunkiem Norwega, Karola Tomtera, przed nowemi sukcesami.

Sławna to historja z tymi młodymi braćmi Marusarzami. Początek ich karjery datuje się od roku 1926-go, kiedy to wśród zawodników, ćwiczących na Krokwi, zauważył p. Oppenheim i p. Ignacy Bujak skaczących śmiało małych góralczyków. Małe te, mizerne, na kiepskich nartach domowego wyrobu, sznurkami do lichych butów przymocowanych rzucało się odważnie w białą przepaść śniegową. Byli to Andrzej i Stanisław Marusarze, przyszłe sławy narciarskie. PP. Bujak i Oppenheim zajęli się nimi, sprawiono im buty, narty, ubrania narciarskie, wpisano do Sekcji narciarskiej i rozpoczęto z nimi prawidłowy trening.

Do pierwszych biegów stanęli jeszcze wcześniej, jako 10-letni chłopcy w zawodach urządzanych przez szkołę zawodową i dostali dyplom, zajmując 18-te i 25 miejsce. Dopuszczano ich poprostu przypadkiem, gdyż ich młodociany wiek nie pozwalał na branie udziału nawet w klasie junjorów. Były to czasy, kiedy pierwszymi byli Rozmus, Sieczka, Andrzej Krzeptowski I, Zaydel i t. p. i kiedy skoki odbywały się jeszcze na małej skoczni w Jaworzynce.

Gdy bracia Marusarze ukończyli lat 16, dopuszczono ich oficjalnie do udziału w zawodach. Było to trzy lata temu. W biegach i skokach o mistrzostwo Zakopanego zajęli wówczas: Stanisław 9-te miejsce, Andrzej 12-te, Jan 20. W roku następnym, t. j. dwa lata temu byli już na jednych z pierwszych miejsc (trzecie i piąte), zaś w roku ubiegłym Stanisław Marusarz (najmłodszy z braci) *zdobył tytuł mistrza Polski*, mając 12-te miejsce w biegu kombinowanym i pierwsze miejsce w skokach długości 51 i 52 i pół metra. Jan Marusarz zajął trzecie miejsce w mistrzostwie, będąc czwartym w biegu a piątym w skokach. Andrzej miał piękne dwa skoki po 59 i pół metra, przy drugim natomiast złamał nartę i musiał wycofać się z konkursu. Wszyscy trzej stawali również w roku zeszłym do obu biegów zjazdowych: z Beskidu i z Kasprowego. Pamiętamy wszyscy tę cudowną niedzielę palmową, te tłumy ludzi na Hali i olbrzymie wrażenie wywołujący, wspaniały bieg z Beskidu. Stanisław Marusarz zajął wówczas trzecie miejsce, zwichnąwszy nogę przy jednej z bramek i mimo to dotarł do mety w czasie jednym z najlepszych. W biegu zjazdowym z Kasprowego, kiedy szalona mgła nie pozwalała dojrzeć terenu na dwa kroki przed sobą, zajął on pierwsze miejsce, Andrzej trzecie, Jan jedno z dalszych.



Trzej Marusarze. Od lewej: Jan, Stanisław (mistrz Polski) i Andrzej.

Na moją prośbę zjawiają się trzej mistrze popołudniu u nas na Gubałówce. Chłopcy jak dęby jeden w drugiego, ubrani wszyscy na granatowo, dechy olbrzymie. Robimy zdjęcia i zasiadamy następnie do pogwarki. Opowiadają o swojej wyprawie do Ameryki w roku zeszłym pod przewodnictwem wiceprezesa P. Z. N. p. Wojniewicza. Poszczęściło się wówczas Bronkowi Czechowi, Andrzej i Stanisław Marusarz zajęli w biegu do kombinacji 25-te i 13-te miejsce.

Skocznia w Lake Placid, ogromnie trudna i oblodzona nie pozwoliła im wtedy na osiągnięcie poważnych wyników. Powiadają, że mimo bardzo gościnnego przyjęcia, jakie ich wszędzie spotykało, zwłaszcza od kolonji Polskiej, — czuli się obco i nienajlepiej. Zachwyceni byli tylko ogromem Nowego Yorku.

Stanisław Marusarz brał pozatem udział w r. 1929 w zawodach czeskich w Smokowcu (Szmeks), zajmując pierwsze miejsce w junjorach, zaś w roku 1931 wysłano go wraz z innymi na zawody w Ponte di Legno (Włochy). Drugą nagrodę zdobył wówczas Bronisław Czech, trzecią Włoch, czwartą Stanisław Marusarz. W najbliższym czasie bracia Marusarze wyruszą na międzynarodowe zawody narciarskie FIS-u do Innsbrucka, które rozpoczną się w pierwszych dniach lutego.

Wschodzącą młodocianą gwiazdą narciarską jest 6-letni brat Andrzeja, Józek, który jeździ doskonale i już dziś osiąga 6-cio metrowe skoki. Widać talent narciarski jest już cechą tej rodziny i dalej przekazywany będzie na młodsze pokolenia. U naszych mistrzów objawiał się on również bardzo wcześnie, bo jak opowiadają sami, od 5-go roku życia tłukli się na nartach domowego wyrobu, a ze szkoły stale uciekali na Krokiew, czy inne mniejsze skocznie i podczas gdy rodzice przekonani byli, że ich pociechy uczą się pilnie, oni przygotowywali się z zapałem do przyszłej karjery narciarskiej. I dziś, mimo, że Stanisław i Andrzej uprawiają niby stolarkę a Jan ślusarkę, — zajęcia te stoją na dalszym (jeżeli nie na ostatnim) planie, a pierwszym i jedynym celem i ideałem ich życia są narty, narty i jeszcze raz narty!

Marja Sandoz.



Andrzej Marusarz, znany przewodnik tatrzański, ojciec Andrzeja.



KRÓL DŻUNGLI.

Wśród wysokich traw czołga się krwiożercza bestja. Jej długi pręgowaty tułów, przywarł do ziemi, zielonkawe oczy połyskują fosforycznie, potworne łapy prężą się do skoku.

To tygrys, król dżungli, postrach ludzi i zwierząt, podchodzi do upatrzonej ofiary.

Jeszcze chwila i straszliwy ryk wstrząsa powietrzem, słychać chrzest łamanych kości i jakby jęk rozpaczy rozdzieranej żywcem antylopy. Ludzie, ptaki, drzewa i wszelka żywina przymarły ze strachu bez ruchu.

* * *

Polowanie na tygrysy jest szczytem marzeń każdego myśliwego, mającego wyższe aspiracje i odpowiednie konto w Banku Angielskim. Z polskich magnatów w zeszłym roku tylko jeden Artur hr. Potocki z Łańcuta bawił w Indjach na zaproszenie wicekróla i kilku maharadży i brał udział w polowaniu na tygrysy, urządzonem z całym przepychem wschodnim, na specjalnie tresowanych słoniach.

Zwykli śmiertelnicy polują zazwyczaj na króla dżungli w pojedynkę, pod przewodnictwem krajowców, którzy znają się na tym fachu. Najczęściej wabi się tygrysa na padlinę i strzela z zasadzki, względnie fotografuje przy pomocy magnezji, tak, jak to obecnie jest bardzo w modzie, wielu bowiem myśliwych woli dobre zdjęcie z życia zwierząt, aniżeli ich rogi, czy skóry, gromadząc w ten sposób trofea w albumie fotograficznym, a nie na ścianach.

* * *

Dziś z tygrysami zaczyna być krucho. Wypierane z odwiecznych lasów przez człowieka, chronią się do najniedostępniejszych mateczników Indyj, Bornea, Sumatry i innych wysp azjatyckich. Maluczko, a staną się tak rzadkie, jak orangutany, lub białe nosorożce. A wtedy litościwy człowiek powoła do życia „Międzynarodowe Towarzystwo dla ochrony tygrysa“ i wyda wspaniałą publikację p. t. „Zamierający król dżungli — tygrys“.

Świat stanie się jeszcze o jeden więcej egzotyzm uboższy. Na szczęście idea ochrony przyrody zaczyna docierać i do Azji. I tak w samych tylko Indjach holenderskich istnieje już 76 rezerwatów natury, z czego 55 na wyspie Jawie. Największy tego rodzaju rezerwat posiada Nowa Gwinea. Potrzebę zakładania rezerwatów w tych na pozór jeszcze zupełnie dziewiczych terenach tropikalnych zrozumiał pierwszy M. Treub, dyrektor ogrodów botanicznych na Jawie.

W r. 1924 wydano w Indjach holenderskich rozporządzenie, które wylicza 61 gatunków ptaków i zwierząt podlegających ochronie (gibony, orangutangi, lemury, mrówkojad łuskowaty, tapir itd). Tygrysa wykaz ten nie obejmuje. Widocznie w Indjach holenderskich stan tych zwierząt jest jeszcze względnie dobry.

Kao.



Tygrys zbliżający się nocą do padliny. Zdjęcie magnezjowe z doliny Thangin w pobliżu Burmy.



Wspaniały łup.



Krajowcy malajscy dźwigający zabitego tygrysa.

Z GALERJI ŚWIĄTKÓW.



Jeszcze do niedawna, na każdem większem przydrożnem drzewie znajdowały się figury świętych, rzeźbione z drzewa i malowane, czyli t. zw. Świątki. Spotykało się je w całej Europie, od Hiszpanji po kresy polskie i Litwę. Niejednokrotnie te niezgrabne rzeźbione Świątki były arcydziełami sztuki ludowej i brały za serce swoim prymitywizmem. Zaczęto je więc wyławiać do muzeów i zbiorów prywatnych, tak, że w krótkim czasie ogołocono z kapliczek wiele dróg. Świątki są bardzo ciekawe także pod względem ikonograficznym, ponieważ przedstawiają świętych, nie wedle utartych szablonów, ale często w sposób naiwny, odpowiadający umysłowości ludowej. W Polsce z przepięknych kapliczek słynie Podhale, Huculszczyzna, Wileńszczyzna i dawna Żmudź, dziś należąca do niepodległej Litwy. Na zdjęciu św. Wincenty, okładający djabła nahajką. Rzeźba ta pochodzi ze Żmudzi.

ZIEWAJĄCY KARNAWAŁ.



Minęły już czasy, kiedy karnawał był okresem nieustannych zabaw i szału, kiedy to chodziło się z balu na bal, zawsze w nienagannym fraku, aby wśród grona pięknych tancerek, fruwających niby barwne motyle po salach balowych, znaleźć żonę. Dziś ludzie tańczą cały rok, bez tych wszystkich niepotrzebnych ceremonij, które towarzyszyły zabawom w okresie walca i poloneza. Nauczyliśmy się bawić tanio i bez rozgłosu na dancingach. Z dawnych szałów karnawałowych pozostały tylko oddźwięki w różnych pochodach i korowodach ulicznych, które odbywają się jeszcze zagranicą, jak np. w Nicei, Paryżu, Monachjum, Rzymie itd. Na zdjęciu maski karnawałowe z Londynu.

PRECZ Z DYLETANTYZMEM W HOTELARSTWIE.



W Krakowie istnieje szkoła hotelarska, której zadaniem jest kształcenie adeptów i adeptek, pragnących poświęcić się temu zawodowi, mającemu tak wielkie znaczenie dla rozwoju turystyki. Jak dotąd, do prowadzenia hoteli i pensjonatów, brały się przeważnei osoby, nie mające o tych sprawach najmniejszego wyobrażenia i przeważnie nie rozporządzające żadnym kapitałem. Najtypowszemi przedstawicielkami tego rodzaju hotelarzy były paniusie z Kresów, które straciwszy majątek, zabierały się do prowadzenia pensjonatów w Zakopanem, czy w Krynicy. Szkoła krakowska, to prawdziwa akademja hotelarska, która uczniom swoim da solidne przygotowanie do ich ciężkiego i odpowiedzialnego stanowiska. Na zdjęciu grono uczniów i profesorów tej szkoły. Czwarty od lewej p. Mianowski, dyrektor Izby przemysłowo-handlowej w Krakowie, z którego inicjatywy szkoła hotelarska powstała.

KONGRES INWALIDÓW WOJENNYCH W RZYMIE.



Najwierniejszą awangardą reżimu faszystowskiego są przedewszystkiem b. żołnierze frontowi i inwalidzi. Z ich szeregów wyszedł także Mussolini, który otrząsnął się z doktryn lewicowych, w chwili, gdy spostrzegł, że owoce zwycięstwa nad Austrją idą na marne, z powodu rozprzężenia, jakie zapanowało w jego ojczyźnie i wichrzeń, inspirowanych przez komunistów. Wyszedłszy z szeregu kombatantów, stara się Mussolini utrzymać z nimi po dziś dzień jak najżywszy kontakt. To też, gdy inwalidzi obradowali w Rzymie, Duce zjawił się wśród nich, witany entuzjastycznie.

FELIKS DANGEL (Wilno).

MIASTO AKADEMJI NIEDŹWIEDZIEJ SMORGONIE.

Na siedemdziesiątym kilometrze od Wilna, stolicy uniwersyteckiej, leży miasto wsławione od wieków wyższą uczelnią i staremi tradycjami — Smorgonie. Dziś, od czasów wielkiej wojny, kiedy to klęska pożaru zniszczyła małe domeczki, miasto odbudowało się, odżyły w nim też i dawne tradycje i wspominki, odżyła i pamięć o smorgońskiej akademji niedźwiedziej.

Mała mieścina kresowa, uplasowana w widłach rzek Okieny i Gierwiatki, nie różni się na ogół od całej plejady miast i miasteczek i uszłaby uwadze podróżnika, gdyby nie dziwne tradycje mieszkańców sadyby i nie odwieczne ich zwyczaje... W wieku XVI znajdujemy już Smorgonie w aktach sędziów świeckich i duchownych, odnajdujemy nazwisko założyciela i kolatora miasta i kościoła.

Imć Krzysztof Zenowicz darzy miasto licznemi przywilejami i stawia zbór kalwiński, w którym, według notat dawno pomarłych kronikarzy, „lud zbierał się tłumnie, by przez lascywia tam wyczyniane, Bogu dysgusta czynić..."

Otoczone opieką magnata miasto (była warowna osada), wzrosło, jak grzyb po deszczu. Liczne przywileje ściągają tam kupców, załoga zaś ze szkockich najemników stworzona, nadaje miastu charakter wybitnie zachodni. W roku 1668 Anna Zofja Zenowiczówna wnosi Smorgonie wianem Albrechtowi księciu Radziwiłłowi, pod rządami i opieką których miasto rozrasta się i bogacieje... W tym to też czasie wędrowni cyganie, ściągający na zimowiska do Smorgoń, zakładają w mieście szkołę tańca dla niedźwiedzi.

Ale o tem poniżej...

Następnie miasto drogą sukcesyjną przechodzi w ręce hr. Przeździeckich, zaś od roku 1830 staje się miastem skarbowem. Dawne zapisy i notaty wspominają, i dzieje pożegnania się w Smorgoniach króla Karola XII ze Stanisławem Leszczyńskim, gdy ten udawał się do Malborga w roku 1708, późniejsze akta mówią o częściowem spaleniu i splądrowaniu grodu przez maruderów francuskich w roku 1812, wojna zaś ostatnia zapisała się w kronikach miasta czerwonemi zgłoskami pożogi, która całe Smorgonie zniszczyła do szczętu...

Nie tyle jednak osławiły małą mieścinę wojny i pożary, co niedźwiedzie...

Poeta K. Zaleski zapytuje:

„A czy wy wiecie piękni panowie i panie,
Jak to w Smorgoniach uczą tańczyć niedźwiedzie cyganie?"

Przysłowia „uczeń smorgoński", lub nazwanie kogoś „smorgońskim tancerzem" po dziś dzień w języku ojczystym przetrwały. Legenda jednak o niedźwiedziej uczelni w Smorgoniach jest prawdą.

Koczujący po całej połaci ziem wschodnich Rzplitej, cyganie odwiecznym zwyczajem, na zimowiska ściągali do Smorgoń, by tam czasy lutej zimy przetrwać. Tak było przed wiekami, tak jest i po dziś dzień. W czasach letnich swych wędrówek nabywali za grosze od obsaczników i gajowych młode niedźwiedzięta, które do Smorgoń odtransportowane, bywały oddawane do cygańskiego internatu na wychowanie.

Gdy niedźwiadek podrósł (liczył około sześciu miesięcy), zaczynał wstępny kurs nauk.

Na przedmieściu miasteczka, w dzielnicy zamieszkałej przez cyganów, wznosiła się wielka szopa, pośrodku której sporządzone było wielkie palenisko, a nad którym wisiał wielki kocioł miedziany, umieszczony na łańcuchach.

Nauka polegała na tem, że młodego adepta tanecznego kunsztu, wsadzano do kotła, pod którym zapalano ognisko. Kocioł powoli nagrzewał się, a miś chcąc uniknąć poparzenia łap, zaczynał powoli dreptać z łapy na łapę.

Asystujący temu cygan zaczynał wtedy grać na fujarce ciągle tą samą monotonną melodję.

Ponieważ kocioł nagrzewał się coraz to bardziej, niedźwiedź powstawał na dwie łapy, zaczynając się mimowoli kołysać w takt grania z boku na bok.

Zabiegi kotłowe powtarzano kilkakrotnie, zaczem miś po pewnym czasie na sam dźwięk znanej melodji zaczynał na łapy powstawać i tańczyć. Tak wytresowane niedźwiedzie wędrowały wraz z cyganami niedźwiednikami po całej Polsce. Smorgońska jednak akademja nie ograniczała się jedynie li do prymitywnej tresury tańca.

Dwór potężnych królewiąt litewskich Radziwiłłów zapotrzebowywał dla siebie niedźwiedzi „ucieszne figle wyprawiających, iżby na ucztach przytomnych panów, trzęsiączkami, a grymasami uciesznemi bawiły".

Musiały więc to być niedźwiedzie par excellence tresowane, a gdy księciu Karolowi „Panie Kochanku" fantazja przyszła, smorgońskie cygany nie jeden miesiąc napocili się w trudzie, by księciu panu „ujeździć" zaprząg z czterech niedźwiedzi złożony.

Prócz tego Smorgonie dostarczać musiały obłaskawione niedźwiedzie i do mniejszych dworów pańskich, gdyż i te za przykładem potężnego Nieświeża idące, chciały mieć u częstokołu na łańcuchu spacerujące niedźwiedzie.

W czasie bytności króla Stanisława Augusta na Litwie u Radziwiłła, zmuszone były Smorgonie sześćdziesiąt niedźwiedzi sprowadzić, do których „Król z panami na bezpieczności stojący, bardzo celnie ze strzelby godził".

Z biegiem lat, a ubytkiem niedźwiedzi, sława smorgońskiej akademji blednąć zaczęła, aż zagasła zupełnie. Wiemy jeszcze jednak, że bawiący kiedyś przejazdem w Smorgoniach car Aleksander II, figlom misiów się przypatrywał.

Bezwzględny zakaz łowienia niedźwiedzia w kniejach Polski odrodzonej, położył ostateczny kres smorgońskiej uczelni.

Zamknąwszy na żelazne antaby akademję niedźwiedzią, Smorgonie sięgnęły po inny laur.

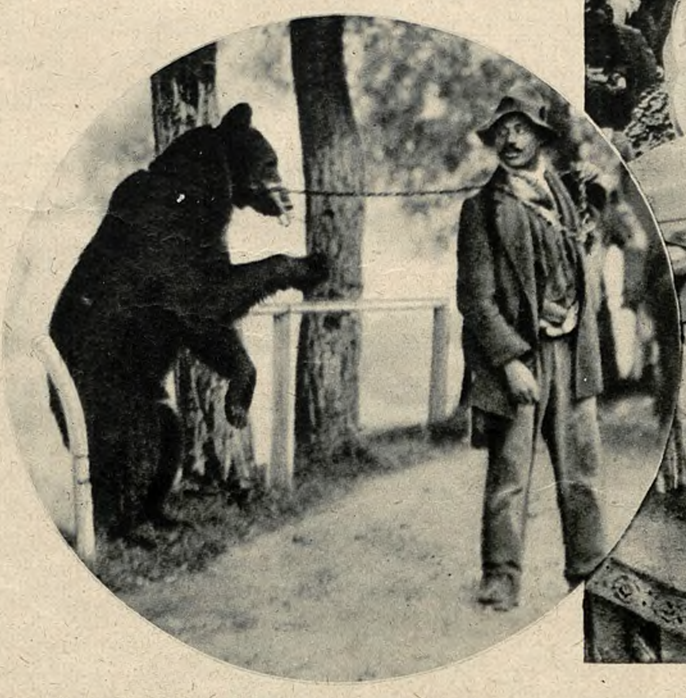
Sławne na Polskę całą są bowiem obwarzanki smorgońskie.

Niedarmo też dwa młyny na Gierwatce przez cały rok pracują, niedarmo też całe noce przed kiermaszami piece piekarskie zieją żarem...

Po ukończeniu remontu i wymalowaniu ostatnich domków, Smorgonie jak feniks powstały z popiołów wielkiej wojny.

Ostatnio zaś z lasów starą mieścinę okalających, przyszły wieści radosne...

Na białej poroszy śniegowej zauważono trop niedźwiedzia. Kto wie! kto wie! może i akademja smorgońska z czasem odżyje.



Niedźwiedź, potomek dawnych wychowanków smorgońskich. Tańczy, zarabiając w ten sposób na życie dla bandy cygańskiej.



Obwarzanki smorgońskie słyną z dobroci na całej Wileńszczyźnie. Na zdjęciu przekupki z obwarzankami na Kiermaszu wiosennym, t. zw. „Kaziuku" w Wilnie.

DZIEWCZĘTA WARSZAWSKIE W OBJĘCIACH KRYZYSU.

Jak pracuje »manekin«.



P. Marjora — czarująca blondynka o prześlicznej figurze i bajecznej linji, pełni obowiązki „manekina" w wielkim stołecznym magazynie mód...

Przymierza i demonstruje wytworne pyjamy, eleganckie sukienki spacerowe i popołudniowe, efektowne toalety wieczorowe i balowe...

— To ciągłe ubieranie się i rozbieranie męczy, ale można się do tego przyzwyczaić... W naszym bądź co bądź specjalnym zawodzie, kryzys nie daje się tak bardzo odczuć, ponieważ grono modelek w Warszawie jest liczebnie dość szczupłe. Trzeba mieć jednak specjalne warunki... I figurę odpowiednią i ruchy harmonijne i trochę osobistego wdzięku przy demonstrowaniu toalety...

Więc o ile się odpowiada tym wymaganiom — to o posadę nietrudno, zwłaszcza, że ostatnio wszystkie większe magazyny posługują się modelkami...

Nasza firma — uśmiecha się p. Marjora — słynie podobno z tego, że ma najzgrabniejsze modelki i najgustowniejsze toalety...

— A jak wpływa kryzys na ruch w magazynie?

— Ruch jest duży, ale efekty realne o wiele słabsze. Klientki przychodzą tłumnie, każą sobie demonstrować modele... Oglądają więcej toalet aniżeli dawniej, tylko mniej kupują...

— Bywa, że trzeba jakiejś pani pokazać kilkadziesiąt modeli, a ona i tak nie zdecyduje się, bo zgóry z tem przyszła, że nie kupi...

A jednak musi się zawsze i wobec każdej klientki być miłą, uśmiechniętą i uprzejmą...

Mimo kryzysu, kulturalni ludzie dbają o manicure.

Panna Jadzia K. jest manicurzystką prywatną. Mieszka na Mokotowie, a codziennie jedzie tramwajem na Żoliborz — co zajmuje jej prawie godzinę czasu — bo na Żoliborzu ma gros swojej klijenteli...

— Już mnie tam wszyscy znają... I w osiedlu dziennikarskiem, i w osiedlu oficerskiem i w domach Z. U. P. U... Roboty na szczęście mi nie brak, bo kryzys, czy nie kryzys — każdy kulturalny człowiek chce mieć paznokcie w porządku... Tylko oczywiście konkurencja szalona i dlatego trzeba ciągle obniżać ceny... Ja biorę 1 złotego za manicure — ale są takie, które przychodzą do domu — za 70 i nawet za 60 groszy.

— Ale w zakładach płaci się znacznie drożej...



— O, tak!.. 2 i 2½ złote, ale to są uprzywilejowane manicurzystki... Jeżeli chce się z niemi konkurować, trzeba pracować tanio... Inteligencja zarabia teraz mało, a to jest przecież nasza klijentela... Bezrobocie, jakie panuje wśród pracowników fizycznych, na naszym zawodzie nie odbija się prawie wcale, bo robotnicy nie dają sobie robić manicure — chyba wyjątkowo...

— A czy klijentela płaci regularnie?...

— Bywa różnie... Najczęściej zdarza się, że zarwą ci, których najmniej by się o to podejrzewało... Nie będę wymieniać nazwisk, ale winni mi są nieraz ludzie bardzo zamożni, kobiety wyrzucające tysiące na fatałaszki, a właśnie biedniejsi akuratniej wywiązują się ze swoich zobowiązań.

10 godzin na dobę pracuje szwaczka.

Józefa S. zajęta jest w skromnej pracowni krawieckiej.

— Ruch u nas ogromny — odpowiada mi — bo wskutek kryzysu, wiele tych pań, które dawniej ubierały się w pierwszorzędnych magazynach — oddaje robotę gdzie taniej.. To też teraz w karnawale urwanie głowy...

— Ileż godzin pracy?...

— E! ktoby tam liczył... To zależy od tego, ile jest roboty i jak prędko trzeba wykończyć... Czasem to i dziesięć godzin pracuje się... Aż człowiek upada formalnie...



— A płaca?

— Ja jestem za podręczną — to biorę 70 złotych...

— Z utrzymaniem?

— Nie! Skądże!... Taka, co szyje zupełnie samodzielnie, dostaje 100, najwyżej 120 złotych miesięcznie... To też każda marzy o tem, żeby sobie kupić maszynę, zdobyć własne mieszkanko i szyć na własną rękę... Wtedy to można się czegoś dorobić, ale tak u szefowej — to chyba tylko suchot...

Rozgoryczenie bije z oczu i słów tej pracownicy igły, zatrudnionej 10 godzin na dobę za 70 złotych miesięcznie...

Kryzys niweczy plany małżeńskie urzędniczki.



Panna Janina, urzędniczka jednego z biur magistrackich, na zapytanie, czy kryzys gospodarczy odbił się na jej egzystencji — odparła ze smętnym uśmiechem:

— Kryzys zniweczył na razie moje najmilsze plany życiowe... Uniemożliwił mi zawarcie małżeństwa...

— Jakto?

— W biurze płacą mi 200 złotych za 7 godzin mozolnej pracy... Dawniej miałam więcej o kilkadziesiąt złotych i trzynastą pensję, ale przyszły obniżki i tak się to jakoś skurczyło... Narzeczony mój jest na posadzie w biurze technicznem, gdzie otrzymuje 250 zł. Te dwie gaże połączone zapewniłyby nam skromne, ale możliwe istnienie... Cóż z tego, kiedy się boję wyjść zamąż, bo gotowi mnie odrazu zredukować jako mężatkę, którą powinien utrzymywać mąż... Łatwo to powiedzieć: „niech ją mąż utrzymuje!..." Ale z czego?! I dlatego nie wiem, czy i kiedy spełnią się moje marzenia o własnem, choćby malutkiem, najmniejszem gospodarstwie.

I jedno jeszcze chciałam dodać, że minęły te czasy, kiedy to urzędniczki biurowe flirtowały w czasie godzin pracy lub przeglądały się w lusterku... Dzisiaj, aby utrzymać się na posadzie, trzeba ciężko harować i to nie na jedwabne pończoszki lub cukierki, ale na kawałek chleba — nawet masłem nie posmarowany...

Panna Frania z mleczarni.

Skromna, ale czysta i sympatyczna mleczarnia. Panna Frania usługuje szybko, zgrabnie i uprzejmie, to też jest ulubienicą klijenteli...

A i tak kelnerki — niewiadomo dlaczego — traktowane są tak, jakby w naszej ciężkiej pracy było coś gorszącego... Nogi odpadają, w głowie huczy, a tu się komuś zdaje, że kelnerka — to dziewczyna lekkiego prowadzenia...

— Zadowolona pani ze swej pracy, panno Franiu?

— Nie chcę skarżyć się w tych ciężkich czasach... Mam pełne utrzymanie i 50 złotych miesięcznie... Niebogato, ale wyżyć można...

— A procenty od rachunku?

— U nas nie dolicza się procentu za obsługę, bo mamy stałe pensje. Czasem, ktoś z gości zostawi napiwek... To oczywiście nie obowiązuje... Dawniej to częściej zdarzało się, ale teraz każdy oszczędza... Zresztą mniejsza z tem... Branie napiwków — to rzecz nie nazbyt miła...

— Jakie pani ma godziny pracy?

— Pracuję od 8-mej rano do 12-tej w nocy, ale zato następnego dnia mam wolne do wieczora...

— Konkurencja duża?

— Rozumie się. Najgorsza rzecz, że przez ten kryzys to do zawodu kelnerskiego pchają się wszystkie dziewczyny, które nam tylko opinję psują...

Do lokali większych, intratniejszych, mężczyźni nas nie dopuszczają, więc dla kelnerek pozostają tylko zarobki najmniejsze...

J. Migowa (Warszawa).



W RADZYNIU PADŁY PIERWSZE STRZAŁY W 1863 ROKU.

Czy powstanie styczniowe wybuchło w nocy z 22 na 23-go? Otóż nie! W kilkunastu miejscowościach odbyły się zbrojne potyczki już w dniu 21-go stycznia.

Świadczą o tem pamiętniki Chądzyńskiego i innych. Zbiory archiwów ukrywają jeszcze wiele rękopisów, zawierających niezmiernie ciekawe szczegóły pierwszych chwil powstania. I tak pewną rewelacją jest rękopis pisanego na żywo pamiętnika Deskura (do dziś niewydany).

Dowodząc w okolicach Radzynia (woj. lubelskie) powstańcami, otrzymał 18-go rozkaz ataku na miasto to i miasteczka okoliczne w nocy z dnia 21-go na 22-go stycznia.

19-go natychmiast odbył Deskur naradę z naczelnikami poszczególnych miejscowości.. Największe siły były skoncentrowane w Radzyniu. Najgorzej było oczywiście z bronią. Zapału u ludzi dużo, ale przygotowania — żadnego.

„Po rozdzieleniu broni — pisze Deskur — zostało dla mnie 15 sztuk dubeltówek i pojedynek, 2 rewolwery, 75 kos. To i wszystko, czem mogłem rozporządzać. Dziesięciu gajowych z Zamoyskiego lasów, których wziąłem z sobą, mieli swoje pojedynki. Z tem trzeba było ruszyć na Radzyń!"

Deskur, ostrzeżony o mającem nastąpić aresztowaniu, wyruszył wczesnym rankiem na punkt zborny, opuszczając żonę i czworo dzieci. Po drodze dokonał inspekcji kilku miejscowości, tak, że pod Radzyń przybył wieczorem.

„Przyjechaliśmy już zmrokiem do lasu na punkt zborny. Postawiłem towarzysza, sam udałem się na drogę wiodącą wprost do miasta, gdzie w rogu lasu ukryłem się w rowie drogi".

„Do godziny 12-tej w nocy pozostawałem w takiem oczekiwaniu. Po 12-tej zaczęli zbierać się sprzysiężeni. Nareszcie przybył i Pyrkosz z 60-ciu mieszczanami. lecz z gołemi rekami, bo nawet siekier z sobą nie przynieśli. Reszta mieszczan została w pogotowiu w mieście.

Od niego dowiedziałem się, że u naczelnika żandarmów zebrał się sztab generała i że grają tam jeszcze w karty, u majora zaś Borodyna zebrali się wszyscy prawie oficerowie piechoty i niektórzy artylerzyści na piknik oficerski. Nie tracąc więc czasu, rozdzieliłem broń, jaką miałem. Pyrkoszowi dałem najsilniejszy oddział i kazałem mu zabrać oficerów bawiących się u naczelnika piechoty, gdzie było kilku oficerów Polaków.

Michałowskiemu, kotlarzowi z dóbr Zamoyskiego, na którego energję najwięcej liczyłem, dałem 10-ciu strzelców najlepszych i poleciłem mu wziąć żywcem generała Kanabicha.

Sam zaś z Jasieńskim T. i 40-toma ludźmi uzbrojonymi w kosy i trochę broni palnej, poszedłem na odwach piechoty, który stał przy parku artylerji. Trzemi temi oddziałami podeszliśmy pod miasto, skąd szybkim krokiem każdy podążył w stronę, gdzie miał atak wykonać. Podjechawszy pod odwach, strzeliłem z rewolweru do żołnierza na warcie, towarzysze zaś moi wpadli do koszar i w jednej chwili ani jednego już tam Moskala nie było. Kilku, którzy zdołali wyskoczyć oknem, dopędzili i rozsiekali. Cały więc park artylerji, to jest dwanaście armat z jaszczykami był w naszem ręku, ale, ażeby je zabrać, trzeba było dostać się do stajen, gdzie artylerzyści, posłyszawszy strzały, zatarasowali się. Oficerowie artylerji, będący w spisku, nie przychodzili. Zacząłem siłą wyważać drzwi, nie mając ani drągów, ani siekier pod ręką; z trudnością to przychodziło".

Pierwsze zwycięstwo zaczyna się chwiać skutkiem alarmu wśród żołnierzy moskiewskich, koszarujących opodal.

Widząc, że się robi alarm na mieście, chciałem podpalić stajnię. Znaleziony snopek słomy w szopie, gdzie stały armaty, podłożyliśmy pod drzwi i zapalili, ażeby wykurzyć artylerzystów. Krok ten okazał się fatalny dla garstki powstańców.

Jak się tylko słoma zajęła, ze wszystkich stron padły do nas strzały, z dziesięciu, czy nawet więcej, zostało na miejscu, wiara jednak nie ustępowała.

Nas przy ogniu Moskale widzieli, my zaś nic poza światłem. Ustępując z pod stajni, pogubiliśmy się w ciemności, porządku w odwrocie niepodobna było utrzymać, zwłaszcza, żeśmy byli otoczeni. Na punkcie zbornym, przy drodze wiodącej z Radzynia do Łukowa tylko ja, T. Jasieński i Nikita, furman Jasieńskiego, znaleźliśmy się. Nikt więcej z oddziału tam nie przyszedł, trzeba było bowiem na drugą stronę miasta się dostać.

Smutny los spotkał patrol Pyrkosza. Pyrkosz, przyszedłszy na kwaterę oficerską, zamiast uderzyć odrazu na zebranych tam oficerów, zaczął propagować Borodyna, który udając, że się chce połączyć z powstańcami, częstował Pyrkosza winem, służący zaś Borodyna wyskoczył oknem, które nie było obstawione powstańcami i zgromadził najbliżej stojący posterunek. Po zaciętej utarczce z powstańcami na zewnątrz domu, Moskale wpadli i Pyrkosza zamordowali.

Michałowski obstawił dom Horoszczańskiego, naczelnika żandarmów, swymi strzelcami, sam zaś wszedł do pokoju, gdzie w karty grali. Za całą broń miał długi nóż kuchenny. Musiał mieć jednakże groźną fizjognomję, kiedy jak wszedł — nikt się nie ruszył z miejsca i nie myślał o obronie. Michałowski miał przejść najdalej do kwatery żandarmerji, nie miał więc czasu do stracenia. Kiedy podszedł do Kanabicha i kazał mu wyjść z sobą, mówiąc, że go aresztuje, powstaniec, stojący za oknem, strzelił i cały swój lotek wpakował w kark generałowi, ten padł na stolik od kart, świece zleciały na ziemię, a Michałowski nożem, który miał za pasem, przebił pułkownika artylerji, dwóch zaś oficerów wybiegło za drzwi, ale spostrzegłszy powstańca w sieni — wracali nazad do pokoju, gdzie obydwóch dzielny Michałowski tym samym nożem położył. Wybiegłszy na ulicę, już spotkał zbierających się Moskali, ogrodami więc wydostał się za miasto, nikogo ze swoich nie straciwszy".

Powstańcy zebrali się za Radzyniem, przygnębieni niemożnością zdobycia miasta. Udali się w kierunku innych miasteczek, gdzie podobne napady miały być dokonane. Raporty poszczególnych naczelników donosiły, że nigdzie napad nie miał lepszego rezultatu. Przerażał ich brak wiadomości z innych okolic. Ale też nie wiedzieli, że powstanie wybuchło dopiero nocy następnej — pod Płockiem! Byli zatem pierwsi.

Kazimierz Zieliński.

BOHATEROM CZEŚĆ!



W Krakowie, gdzie w schronisku na pl. Biskupim żyje jeszcze kilku uczestników powstania, uczczono pamięć 1863 r. nabożeństwem w kościele Marjackim a potem pochodem, który z Rynku wyruszył do schroniska. Tu przemówił wiceprezydent miasta dr. Klimecki, poczem rozległa się komenda: Baczność, oddaj cześć! W imieniu powstańców podziękował zebranym 94-letni por. Łążyński. Na zdjęciu grupa powstańców w schronisku krakowskiem, w głębi delegacje ze sztandarami. Siedzą od lewej: por.: Morawski, Żelichowski, Nużyczkowski, Hierzyński, Mackiewiczowa, Pawłowski i Nałęcz-Łążyński.



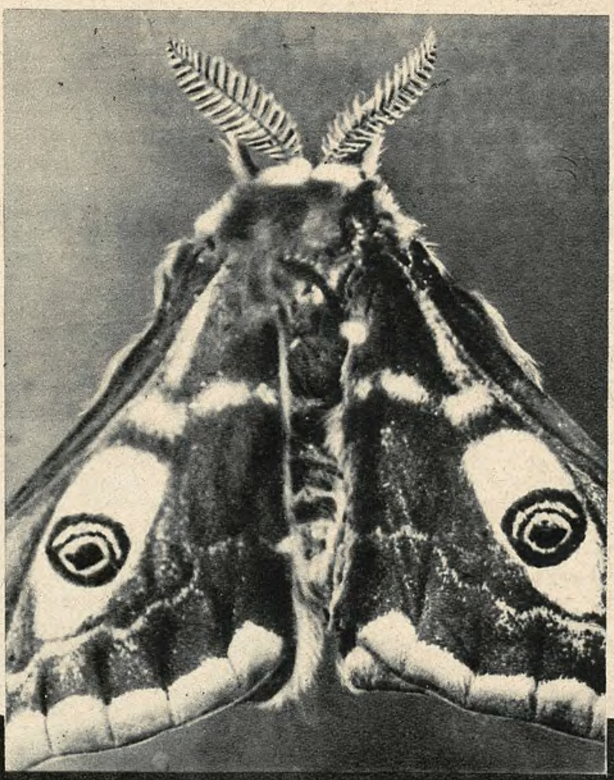
W Poznaniu wojewoda hr. Roger-Raczyński przyjął ostatnich uczestników powstania na śniadaniu. Pozostało ich w Poznaniu tylko czterech. Są to (od lewej): por. Józef Winnicki, por. Michał Michalski (w pośrodku wojewoda hr. Raczyński), por. Aleksander Cielęcki i por. Ignacy Mańkowski.



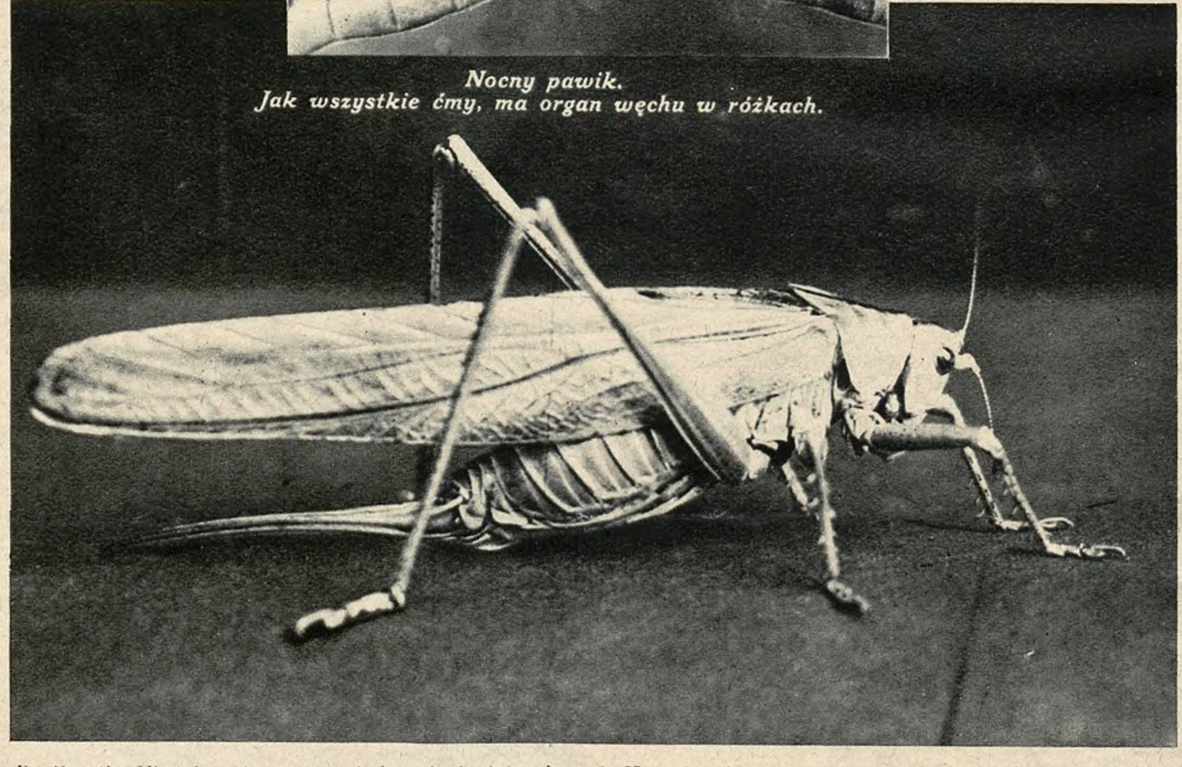
Kulminacyjnym punktem uroczystości warszawskich z okazji 70-lecia Powstania Styczniowego było otwarcie wystawy pamiątek i złożenie wieńca pod krzyżem Traugutta (na zdjęciu) w miejscu, gdzie dyktator powstania został przez Rosjan stracony. Przemówienie pod krzyżem wygłosił gen. Rydz-Śmigły (czwarty od lewej), obok niego stoi gen. Jarnuszkiewicz i płk. Głogowski. Zdjęcia Ag. Fot. „Światowid".

Z ŻYCIA PRZYRODY. JAK POROZUMIEWAJĄ SIĘ OWADY.

Dla ludzi, nie zajmujących się specjalnie naukami przyrodniczemi wiele objawów życia stanowi niedościgłą tajemnicę. — Chciejmy więc choć trochę światła rzucić w te ciemne zakątki i kryjówki — tak bardzo zresztą ciekawe i interesujące. Wejrzyjmy w życie tych drobnych tworów przyrody, jakiemi są owady, aby zrozumieć i poznać, w jaki sposób współżyją one z sobą, jak się przywołują, rozpoznają i porozumiewają między sobą. — Któż nie słyszał w letni poranek cudnej, a tak delikatnej muzyki, zda się spływającej z harfy elfów, która dziwną słodyczą przenika duszę wrażliwego przechodnia. Oto tysiące much krąży w powietrzu, pszczoły i osy z brzękiem przelatują z kwiatka na kwiatek, nad niemi zaś unoszą się barwne motyle a wśród kwieci aż roi się od biegających owadów. Wieczorem znów inna muzyka. Nad wodami szybują wielkie mrówki i lekko unoszą się świtezianki, których ciemno-szafirowe skrzydła błyszczą jak widmowe oczy. Dokoła zaś powietrze przepełnione jest ogromną ilością jętek i komarów. Wtedy to, w taki piękny, upalny letni wieczór rozbrzmiewa konkurs pasikoników (Locusta viridissima, L. cantans), wyśpiewujących bez końca swą pieśń miłosną. Wśród zarośli niskich, na łanach zbóż lub w konarach drzew, chronione przez swą zieloną barwę ochronną pędzą samce swe krótkie życie i donośnem a tak miłem śpiewaniem wyrażają swą radość i zadowolenie, przywołując równocześnie w ten sposób swe małżonki na gody życia. Podobnie i świerszcze, tak polne, jak i domowe oznajmiają muzyką swą obecność. Bo też i artyści to wśród owadów, rozporządzający doskonałym instrumentem muzycznym, wydającym tony na podobieństwo skrzypiec. Instrument ten mieści się na pierwszej parze skrzydeł, w nasadowej ich części. Na jednem skrzydle (na prawem) widzimy specjalnie rozwinięte, twarde, chitynowe żyłki skrzydła, rozwinięte w postać zaokrąglonego pięcioboku, albo krótko mówiąc: w postać kółka. Kółko to twarde i elastyczne, bo chitynowe, odgrywa rolę skrzypiec, a dokładniej mówiąc strun, wydających dźwięk. Dźwięk ten jeszcze wzmocniony dzięki temu, że w przestrzeni wewnątrz wspomnianego kółka leży napięta błonka sprężysta, działająca jak resonator. Rolę smyczka natomiast spełniają podobne żyłki chitynowe, lecz umieszczone na drugiem skrzydle (lewem) od dołu, a więc przylegające bezpośrednio do tamtych żyłek.



Nocny pawik.
Jak wszystkie ćmy, ma organ węchu w różkach.



Pasikonik. Nie złamcie mu nogi, bo nie będzie słyszał. Uszy bowiem ma w przednich nogach, na podudziu, tuż poza stawem kolanowym.

Te koncerty pasikoników miłe są dla ucha człowieka i sprawiają wrażenie subtelnej muzyki. Czy jednakowoż słyszą je inne owady — a zwłaszcza same pasikoniki, tak samce, jak i samice? — Z góry możnaby przypuszczać, że skoro pasikonik koncertuje, to musi i słyszeć. Zresztą wiadomo, że owady słyszą pewne hałasy, szmery, dźwięki — płoszą się bowiem, gdy powstaje hałas lub stuk. Gdy w pobliżu koncertującego pasikonika nagle zakrzyknąć lub wzbudzić szelest — to natychmiast umilknie. Naodwrót łatwo też niekiedy pobudzić pasikonika do koncertu, pocierając dwa kawałki szkła lub metalu, tak, by wydawały trzeszczące, urywane dźwięki. A ileż razy można obserwować, jak naraz wśród ciszy przewieczornej wybucha nagle jak na komendę koncert wielu a wielu tych dotychczas milczących muzykantów, ukrytych wśród zarośli i krzewów, gdy tylko jeden z nich zacznie swą pieśń codzienną. Inne natychmiast zaczynają mu wtórować, niewątpliwie zatem słyszą muzykę swego pobratymca. Zresztą wykazały to nawet bardzo pomysłowe i przekonywujące doświadczenia. Przed kilkunasty laty niemiecki badacz Reger umieścił przy trąbce (mikrofonie) słuchawki telefonu ćwierkającego świerszcza a drugą słuchawkę telefoniczną ułożył w terenie, w którym żyły świerszcze. Okazało się, że dźwięki, wydawane przez samca a przeniesione telefonicznie były doskonale słyszane przez samice, które gromadziły się przy słuchawce telefonicznej. Niema więc wątpliwości, że owady, a przynajmniej takie, które same mogą wydawać głos, słyszą. W jakiż jednak sposób mogą one słyszeć — gdzie i jakie mają narządy słuchowe, działające jako uszy? — Przez długi czas badacze toczyli ożywione dyskusje i spory nad tym problemem, wygłaszano też rozmaite poglądy i hipotezy, nieraz sprzeczne i dziwaczne, a coraz to inne, lecz sama sprawa słyszenia właściwie nie jest całkiem pewnie rozwiązana w większości wypadków. Najmniej wątpliwości przedstawia ten problem u pasikoników i świerszczy. Tutaj nie mamy już wątpliwości, gdzie poszukiwać „uszu" tych owadów. Wiemy też jak te „uszy" wyglądają i jak działają, jaką mają budowę i czynność. Otóż te „uszy" mają pasikoniki w przednich nogach. Na podudziu nogi tuż poza stawem kolanowym widoczne są dwie łukowato wygięte szczelinki, ograniczone zgrubiałą warstwą chityny, niby wałem. Są to otwory słuchowe, prowadzące do właściwego narządu słuchowego, ukrytego w głębi nogi. Narząd ten możnaby w ogólnych zarysach porównać z uchem zwierząt domowych, lub człowieka. I tu i tam jest obszerna jama, wypełniona powietrzem, t. zw. jama bębenkowa, która u pasikoników zbudowana jest z cienkiej błonki, lecz nie zawiera t. zw. kostek słuchowych, jakie spotykamy w uchu człowieka, natomiast przylega do pęcherzowato rozszerzonej w tej miejscu rurki oddechowej, czyli tchawki, ciągnącej się przez całą długość nogi. Na tej tchawce, a częściowo tuż obok niej leży właściwy narząd słuchowy, odbierający fale głosowe, czyli t .zw. listewka słuchowa, złożona z elementów nerwowo-zmysłowych, podobnych funkcjonalnie do słuchowych elementów, t. j. do t. zw. „narządu Cortiego" w uchu człowieka.

Skoro zatem pasikoniki i koniki polne wydają dźwięki i mogą też je słyszeć, to mogą się też za pomocą nich ze sobą porozumiewać i to nawet na pewną odległość. W ten sposób samce przywabiają samice na gody miłosne, dając znać o sobie głośną muzyką. Nie jest to jednak jedyny sposób porozumiewania się owadów ze sobą — wprost przeciwnie: porozumiewanie się ich zapomocą głosu jest zjawiskiem ograniczonem tylko do niewielu gatunków, podczas gdy olbrzymia większość owadów odszukuje się i porozumiewa w inny sposób. Znanem jest powszechnie, że owady widzą się wzajemnie i to nawet niekoniecznie na bliską odległość. Motyl bielniek, zobaczywszy drugiego leci ku niemu — a taksamo czynią inne dzienne mottyle i takie owady, które duże i dobrze rozwinięte oczy jak np. muchy, ważki itd. Wzrokiem nie mogą jednak spostrzegać owady, latające w nocy. U takich owadów głównym zmysłem orjentacyjnym jest węch. Mają one tak wielką i silnie rozwiniętą zdolność odczuwania zapachów, jakiej człowiek sobie nawet wyobrazić nie potrafi. Nawet pies myśliwski pozostaje pod tym względem daleko w tyle poza owadami. Kierując się węchem potrafią one nietylko wyszukać sobie pokarm czy to nektar kwiatowy odpowiedniej rośliny, czy to padlinę, czy pędy roślin, na których mają złożyć jajka, ale także potrafią się wzajemnie odszukać osobniki, łącząc się w pary. Znakomity francuski badacz życia owadów Fabre J. H. podaje, że samce ćmy pawicy (Saturnia) zlatują się w nocy z wielkiej, bo kilkadziesiąt km. wynoszącej odległości do wystawionej w klatce na okno samicy. I choćby nawet ta odległość była 10 razy czy stokrotnie mniejsza, nie da się zaprzeczyć, że odczuwają one węchem obecność samicy, wydającej subtelny, dla innych zwierząt i dla człowieka niedostrzegalny zapach.— Czemże jednak owady poznają i odczuwają zapachy? Gdzie mają zmysł węchu? Wielokrotne doświadczenia wykazały bezsprzecznie umiejscowienie tego zmysłu. Okazało się bowiem przy badaniach, że jeśli samcowi np. jedwabnika, jak to podaje Forel, zalepić oczy a nawet odciąć pyszczek, to on i tak odszuka ukrytą samicę, jeżeli natomiast odetnie się mu rożki, to tak okaleczony samiec nie reaguje już na obecność samicy i nie potrafi jej odszukać. A zatem zmysł węchu u owadów mieści się bezwątpienia w rożkach. Rożki samców są przytem najczęściej znacznie większe i lepiej rozwinięte, aniżeli samic, to też nic dziwnego, że samce odczuwają nawet obecność samic zapomocą węchu. Rożek owada, cechującego się dobrze rozwiniętym węchem, jak np. wymienionej pawicy nocnej lub jedwabnika, oglądany przez lupę pod mikroskopem, okazuje na swej powierzchni niezwykłe bogactwo dziwnych i oryginalnych a bardzo drobnych i delikatnych tworów chitynowych w postaci kolców, włosków, banieczek, płytek, stożków itd. Wszystkie te twory to są właściwie narządy zmysłowe, rozmieszczone bardzo gęsto na rożkach, chociaż coprawda niektóre tylko mają znaczenie dla odczuwania zapachów, podczas gdy inne służą do odbierania wrażeń dotykowych a może i innych jeszcze. Wszystkie te narządy są połączone delikatnemi nerwami z mózgiem owada i dzięki temu pełnią rolę narządów zmysłowo-odbiorczych. Takie samo bogactwo narządów zmysłowych, chociaż cokolwiek inaczej ukształtowanych, można dostrzec pod mikroskopem na rożkach pszczół i ós. Dlatego to pszczoły i osy tak łatwo i tak prędko odszukają substancje, wydające woń, a więc np. kwiaty, miód, soki owocowe, dzięki temu też zlatują się tak tłumnie do owocarni, fabryk przetworów owocowych, miodosytni, cukierni i t. d. Dlatego też pszczoły poznają węchem tak łatwo obcą matkę, jeśli się ją wpuści do ula, najczęściej ją zabijają. Nawet znaną jest rzeczą, że zbieracze owadów i przyrodnicy wykorzystują tę zdolność owadów do odczuwania zapachów, z dalekiej nieraz odległości przywabiają je odpowiednio przygotowaną przynętą z miodu i jabłek, lub innych owoców na jedno miejsce, gdzie bez większego trudu i zachodu, bez specjalnych poszukiwań i gonitwy można je w siatkę schwytać.

Marja Stanowska.



Piękny model paryski Callot wykonany z aksamitu czarnego w białe paski i białego z czarnem. Biały berecik z rypsowej wstążki.

Między piątą a siódmą

Życie pędzi utartym szlakiem poprzez indywidualne zajęcia i prace, które wykonujemy albo z całym zapałem dla niej samej, albo z myślą o tem, co nam wypełnia wolny czas.

Na ten czas, wolny od zajęć, ileż zostaje miłych chwil, które spędzamy w gronie najbliższych, czy w błogiej samotności, lub też wśród sympatycznych znajomych i przyjaciół, z którymi spotykamy się dość często, by dzielić się wrażeniami przeżywanych emocyj życia. Porą na ten cel najodpowiedniejszą są nadwieczorne godziny od 5-tej do 7-mej i dla nich moda stwarza specjalne sukienki, skromniejsze w kroju i całym charakterze, w których pani składa wizyty u bliższych znajomych lub idzie do kawiarni na „murzynka".



Lekka wełna w jednym kolorze, w tonach ciemniejszych, używana jest do tych sukienek, które otrzymały nazwę „między piątą a siódmą". Od czarnej począwszy, poprzez ciemny granat, bronz, zielony, jest dużo ładnych i eleganckich odcieni. Czasem łączone są dwa cienie tego samego koloru, niezbyt od siebie się różniące, lub też kombinuje się czarny z białym, co zawsze stanowi gustowną całość.

Sukienka popołudniowa „między piątą a siódmą" jest półdługa, kloszowa lub z paroma fałdami, przybrana co najwyżej zakładeczkami, czasem jakimś wyszywanym dyskretnym motywem lub też modnemi metalowemi blaszkami, które są naszywane lub nabijane w proste lub bardziej skomplikowane desenie. Rękawy cokolwiek oryginalniejsze w kroju od zwykłej sukni.

Kapelusz, buciki i torebka, te zawsze ważne czynniki stroju, tu muszą ładnie harmonizować z sukienką. Nowością, którą mile panie przyjmą, jest powrót jasnych pończoszek przy ciemnych pantofelkach.

J. Z.



Wełniana sukienka w kolorze niebieskim (bleu ciel) kombinowanym z beige. Turban od czoła w kolorze beige z płaskim aksamitnym kwiatem.

Obok: Elegancka sukienka z czarnej wełny z oryginalnem wyszyciem z włóczki w modnym liljowym kolorze.

Poniżej: Granatowa sukienka z oryginalnemi rękawami i wykończeniem dekoltu metalowemi blaszkami.



MODA I ELEGANCJA W STOLICY.



Zaszczytny tytuł „Najpiękniejszej Pani Warszawy“ na Balu Mody w salonach Hotelu Europejskiego zdobyła drogą plebiscytu p. Nina Janowiczówna w przepięknej toalecie ze znanego i wielokrotnie odznaczonego różnemi nagrodami Domu Mody B. Myszkorowski. Suknia wykonana była z materjału „Clocial“ koloru „Coquelicot“, przybrana prawdziwemi sobolami.



Efektowna poza p. Niny Grudzińskiej, królowej mody na r. 1933, pozwala podziwiać jej piękne nóżki, którym moc uroku i powabu dodają wytworne pantofelki ze znanej firmy Lucjan Leszczyński, Warszawa, ul. Nowy Świat 34.

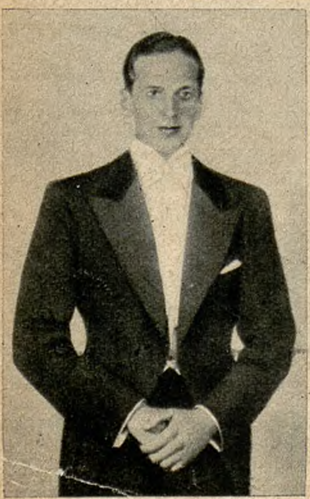




P. Zbigniew Staniewicz, art. teatru „8.30“, został wybrany królem mody na rok 1933 na Balu Mody, który odbył się w salonach Hotelu Europejskiego w Warszawie. Ta wspaniała bielizna frakowa króla mody pochodzi ze znanej firmy: Karol Kubalski, Warszawa, Krak. Przedm. 7, która zaopatruje gentlemanów stolicy w wykwintne atrybuty mody i konfekcji.



Pani Jadwiga Smosarska na Balu Mody w Warszawie, uzupełniała swą piękną toaletę nadzwyczaj efektownem sortie z białych lisów ze znanej firmy Maksymiljan Apfelbaum. Warto zaznaczyć, że wszystkie futra wieczorowe na tym balu pochodziły z tej firmy.



Obok: Pan Zbigniew Staniewicz, art.teatru „8.30“, obrany został Królem Mody na rok 1933 na Balu Mody w Warszawie. Pan Staniewicz zyskał ten tytuł arbitra elegantiarum dzięki pięknie skrojonemu frakowi. A należy zaznaczyć, że frak jego wykonał najwytworniejszy magazyn ubiorów męskich Piotr Borkowski i Syn, Warszawa, ul. Żórawia 17. We fraku tym wystąpi p. S. w operetce „Kobieta, która wie, czego chce“.

Pani Nina Grudzińska została obrana królową mody na tegorocznym Balu Mody, który odbył się w salonach Hotelu Europejskiego w stolicy. Nic dziwnego. Suknia p. Grudzińskiej wykonana została w najwytworniejszym magazynie sukien Maison Goussin-Cattley w Warszawie, Plac 3-ch Krzyży 12. Podkreślić należy, że firma ta już trzeci rok z rzędu na Balu Mody otrzymuje pierwszą nagrodę (tytuł królowej mody) za piękną toaletę. Suknia na zdjęciu wykonana jest z białej koronki, przetykanej gdzieniegdzie złotem.

IRLANDJA W WALCE O NIEPODLEGŁOŚĆ.



W Irlandji odbyły się nowe wybory. Miały one naogół przebieg spokojny, tylko w niektórych miejscowościach przyszło do burzliwych antyangielskich demonstracyj, które policja szybko opanowała (na zdjęciu). Przywódca nacjonalistów irlandzkich de Valera, jako hasło swoje wysunął zupełną niezawisłość polityczną i gospodarczą Irlandji. Oczywiście na tą koncepcję, Anglja nigdy dobrowolnie nie pójdzie, niemniej jednak bliską jest zdaje się godzina, kiedy ciemiężony naród irlandzki po blisko tysiącletniej niewoli i bezprzykładnych prześladowaniach doczeka się lepszego jutra.

OJ, TA GRYPA!



Wyspy Brytyjskie nawiedziła epidemja grypy, której ofiar w samym Londynie naliczono w ostatnich dniach około 50.000. Na szczęście choroba ta ma przebieg łagodny i rzadko kończy się śmiercią. Dla zwalczania tej epidemji władze wojskowe wydały szereg zarządzeń, m. i. rozkazano żołnierzom codzień na komendę płókać gardło, w biurach zaś wprowadzono specjalne maski ochronne (na zdjęciu) dla personelu, mającego styczność z publicznością. Maski te chronią wprawdzie zdrowie, ale niejednokrotnie wyglądają bardzo komicznie na dyrektorskich nosach, lub na noskach ich sekretarek.

NIE BOIMY SIĘ DOBRYCH LUDZI.



W Paryżu spadł śnieg, zrobiło się zimno. To też ptaszkom w ogrodzie luksemburskim coraz trudniej o pożywienie. Ale na szczęście w stolicy nadsekwańskiej nie brak dobrych ludzi. Oto jeden z nich zaopatrzywszy się w ziarno, okruszki i inne przysmaki, przystanął na szerokiej alei. Zobaczyły go ptaki i wnet otoczyły gęstą gromadą. Nie boją się człowieka, bo czują, że to ich przyjaciel, i dlatego nietylko że nie uciekają, ale zlatują nawet do jego ręki. Wymowny to zaiste dowód kultury.

BURZA DOOKOŁA KOŁYSKI.



Żona króla bułgarskiego, z domu księżniczka włoska, powiła córeczkę. Została ona ochrzczona wedle obrządku prawosławnego, co wywołało sprzeciw Nuncjusza Apostolskiego, który udawszy się do premjera bułgarskiego, zapytał go, dlaczego została złamana umowa, zawarta w swoim czasie pomiędzy królem Borysem a papieżem, mocą której król zobowiązał się dzieci swe chrzcić wedle obrządku rzymsko-katolickiego. Premjer odpowiedział, że stało się to na mocy uchwały Rady ministrów, która chciała, aby córka królewska była prawosławną, jak przygniatająca większość wszystkich Bułgarów, należących właśnie do tego kościoła. Jak słychać, w sprawę tę ma się wmieszać osobiście sam Ojciec św. i wyciągnąć daleko idące konsekwencje. Na zdjęciu król Borys, dziękujący tłumom za owacje po nabożeństwie w katedrze w Sofji, odprawionemu na pomyślność zdrowia jego żony i córki.

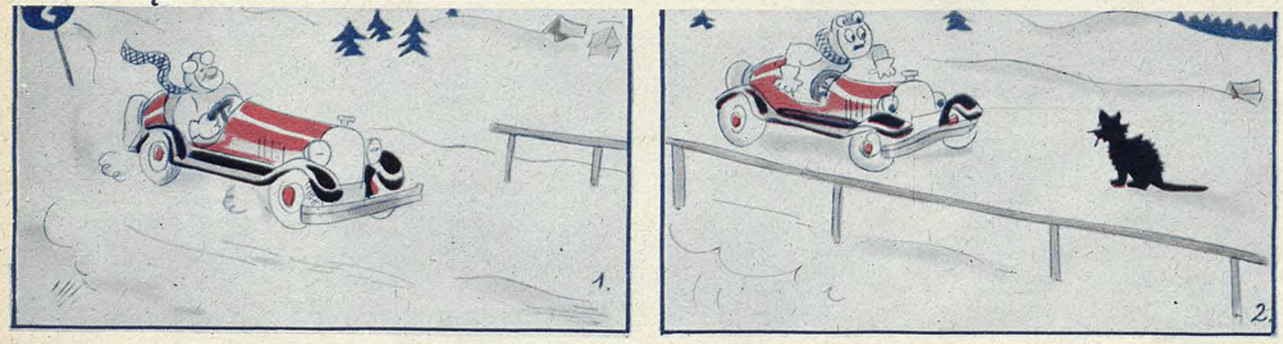
GAZETA PISANA NOGĄ.



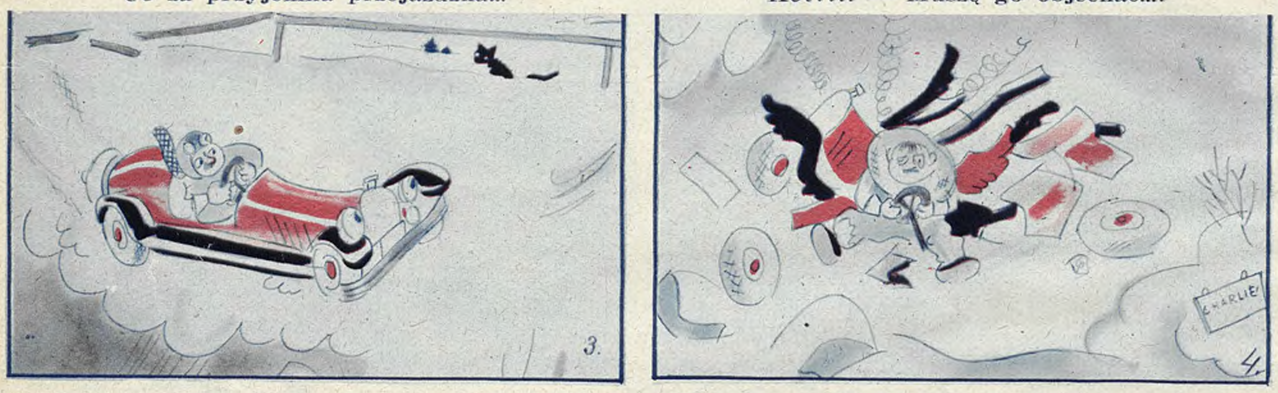
W Pradze wychodzi najoryginalniejsza na świecie gazeta p. t. „Nas Boj" (Nasza Walka). Jest ona organem stowarzyszenia ludzi fizycznie upośledzonych, a więc bezrękich, beznogich, ślepych, głuchych, kulawych i t. d. Głównym redaktorem tej gazety jest niejaki p. Filip, człowiek bez rąk. Jako mały chłopiec dostał się on do zakładu prof. Bakuli, gdzie nauczył się różnych rzemiosł i posługiwania się nogami, zamiast rękami i to w pracach bardzo skomplikowanych, jak np. pisania na maszynie (na zdjęciu), wiązania krawatki itd. Do podobnych wyników doszedł w Polsce hr. Plater, który o swojem życiu wydał nawet specjalną książkę.

Humor Światowida

PRZESĄDNY AUTOMOBILISTA.



Co za przyjemna przejażdżka... Kot??!! — Muszę go objechać...!



— — — — — — — — Wiedziałem, że to bydle przyniesie mi nieszczęście!

MIŁOŚĆ AMERYKAŃSKA.

Jack Morton wszedł do jaskini gry, pełnej ludzi jaskiniowych, mających twarze z epoki kamiennej, tak były spokojne. Nastrój był z epoki lodowcowej. Czoła z epoki miedzi. Dżentelmeni z podwiniętemi rękawami koszul grali z zimną krwią i zmiennem szczęściem.

Jack Morton poczuł najwyższą pogardę dla tych ludzi, którzy nie próbują narzucić swej woli losowi. Postawił parę razy na czerwone, ale wtedy właśnie wyszło czarne. Potem odwrotnie. Wreszcie Jack Morton rozgniewał się i nie postawił żadnej stawki, natomiast ściągnął wygraną, jakiemuś sąsiadowi. Krupier oczywiście oburzył się.

— To nie dla pana — powiada — na jaki pan kolor stawiał, czarne czy czerwone?

— Nie wiem — odpowiada najspokojniej Jack Morton — jestem deltonistą i nie rozróżniam kolorów — postawiłem na ten kolor, który wygrał.

Zabrano mu jednak jego pieniądze. Wtedy Jack doszedł do wniosku, że gra w ruletę byłaby o wiele bardziej interesująca, gdyby można używać dwóch kulek. A ponieważ nie miał przy sobie okrągłej kulki, przeto wyjął rewolwer i strzelił. Kula utkwiła na czerwonem, ale i tym razem krupier nie uznał wygranej Jacka Mortona.

Wtedy Jack Morton usiadł na miejscu krupiera, którego wyniosło z sali czterech ludzi. Jack Morton wyjął drugi rewolwer — kazał wszystkim grającym wyłożyć na stół wszystkie posiadane pieniądze, poczem zawołał.

— Rien ne va plus.

I nic nie poszło w ruch — nawet kulka. Morton ściągnął grabkami pieniądze. Sprawiało mu to większą rozkosz. Po raz pierwszy w życiu ściągał pieniądze w ten sposób. Potem grający rozeszli się do domów pod silnem wrażeniem spędzonego wieczoru. Morton pozostał sam w kasynie. Rozładował rewolwery i rzekł z ulgą.

— Wyładowałem trochę energji. Oto jak należy grać w ruletę. Śmiałym fortuna sprzyja.

Wpadł w nastrój sentymentalny. Pieniądze ciążyły mu w kieszeni, a noc jeszcze długa, a serce niespokojne.

Wstał od stołu, zgarnął naboje, włożył do kieszeni rewolwery, poczem ruszył na poszukiwanie wielkiej przygody miłosnej.

Przeszedł parę ulic, poczem znalazł się w sali tanecznej Jima Hopkinsa, którego córka Maud królowała zawsze wśród tancerek.

Pojawienie się Mortona wzbudziło popłoch na sali. Tancerze puszczali swe tancerki, a tancerki bały się same puszczać w tan, więc z piskiem rozbiegły się. Morton wesoło pogwizdując przeszedł przez salę z rękami w kieszeni, huknął na orkiestrę, aby grała dalej, a sam skłonił się przed panną Maud Hopkin i poprosił ją do tańca. Nie odmówiła.

Reszta towarzystwa widząc, że Morton tańczy i nie strzela, i że obie ręce ma zajęte tancerką, wobec czego nie może posługiwać się rewolwerem, nabrała odwagi i poczęła tańczyć.

— Maud — błagam cię — bądź moją!

Maud przechyliła głowę w tył i spojrzała ironicznie na Jacka.

— Twoją? ależ ja do ciebie nie mam zaufania... jesteś najlekkomyślniejszym człowiekiem w naszem mieście. Żyjesz z rewolweru.

— O nie zawsze — oburzył się Jack — umiem też pracować — musiałem ciężko pracować, za nim mogłem sobie pozwolić na kupienie dwóch wspaniałych Coltów.

— Tak, masz aż dwa? zdziwiła się Maud — pokaż...

— Tu na sali nie mogę — odrzekł Jack — wywołałoby to popłoch.

— No to chodź do mnie — rzekła czule Maud, mam tu mój wóz, zawiozę cię.

Wyszli razem, czule, pod ramię. A kiedy znaleźli się w samochodzie — Maud ponowiła swą prośbę.

— Pokaż...

Wtedy Jack wyjął swe rewolwery i wręczył je Maud.

Dziewczyna poczuwszy w rękach broń — zmieniła się niedopoznania. Głos jej brzmi energicznie.

— Siadaj przy kierownicy, jedziemy! — zakomenderowała, przykładając lufę rewolweru do skroni Jacka.

— Dokąd — zapytał pokornie Jack.

— Do urzędu stanu cywilnego — rzekła Maud — pobierzemy się, chcę z ciebie zrobić człowieka.

— Ależ to wymuszenie — zaprotestował słabo Jack...

Stanął jednak przed urzędnikiem wyciągniętym z łóżka i czując na łopatce lufę swego własnego rewolweru zgodził się na wszystko.

A kiedy odchodzili już jako małżonkowie Jack wybuchnął śmiechem.

— Alem cię zwiódł Maud — nie bałem się ciebie zupełnie, gdyż rewolwery były nienabite...

Maud jednak odparowała ten cios.

— Wiedziałam o tem — pociągnęłam za cyngiel — nie słyszałeś tego, bo zagłuszył to huk motoru. Chciałam zgładzić tak niebezpiecznego dla społeczeństwa człowieka, ale widząc że nie ma kuli, postanowiłam zemścić się na tobie i wyszłam za ciebie zamąż...

Potem zarzuciła mu ramiona na szyję, niby lasso i powlokła jako swoją zdobycz do domu.

Zbigniew Grotowski.

W SALONIE MÓD.



— Prawda, że w tym kapeluszu wydaję się znacznie smuklejsza?

W ZAKOPANEM.

— A więc polecono pani mój pensjonat ze względu na jedzenie?

— Tak jest, moja przyjaciółka mieszkała u pani przez dwa tygodnie i straciła siedem kilo...

MIŁOŚĆ.

— Ja ciebie tak strasznie kocham; czy ty mnie także kochasz?

— Tak, ciebie także...

FOTOAMATOR PRZED SĄDEM.



Sędzia: Zostaje pan skazany na dwa miesiące więzienia z ciemnicą co tydzień; czy oskarżony wyrok przyjmuje?

Oskarżony: Czy nie mógłbym panie sędzio dostać ciemnicy częściej, mam masę zdjęć do wywołania...

REBUS.



Za rozwiązanie niniejszego zadania, redakcja „Światowida“ przeznacza

Trzy nagrody.

Pierwsza zł. 30, druga zł. 20, trzecia zł. 10.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 4. lutego 1933 wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 2.

PO-LO-NI-STY-KA.

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 2 nadesłali:

Kpt. A. Majerowicz, Rzeszów; R. Więckowski, Warszawa; W. Tyblewski, Poznań; K. Stańczyk, Inowrocław; W. Luxemburgowa, Płock; „Wiślanka“, Warszawa; Miecz. Kozłowski, Kraków; A. Bieniaszowa, Lwów; „Abiturjent“, Lwów; J. Kalasiewiczówna, Kraków; Wł. Milianowicz, Jarosław; „Mysz-

ka", Poznań; Wład. Gajowa, Poznań; Emerytka, Wilno; M. Szewiakowa, Wilno; Ir. Lesińska, Kępno; J. Rembieliński, Włocławek; K. Pusiowa, Katowice; H. Chromcewiczowa, Lublin; Stan. Mikowska, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa; Z. Tietz, Warszawa; A. Loeglerówna, Lwów; H. Zadarnowski, Dubno; W. Stribrny, Katowice; St. Biesiada, Ogórków; Wład. Wojtczakowa, Ozorków; „Apollo", Ozorków; J. Maziarz, Ozorków; J. Czerwiński, Kowel; W. Siuta, Kołomyja; J. Książczakowa, Warszawa; K. Maciejowska, Katowice; Stan. Przytocka, Warszawa; A. Papee, Katowice; M. Niekraszówna, Wilno; K. Stankiewicz, Sosnowiec; N. Kaz. Kozłowski, Warszawa; M. Jagusiński, Kraków; Franc. Rosiek, Rajcza; M. Fr. Jarocka, Warszawa; H. Mokrzycka, Drohobycz; M. Strubel, Warszawa; **Zbigniew Jaworski, Stanisławów (zł. 30.—)**; Janek S., Warszawa; „Wilnianin", Dubno; Terena Zacherowa, Jaworzno; Harcerze Szkoły Handlowej, Rybnik; L. Bronner, Kraków; J. Czołcz, Poznań; J. Stefańczyk, Pabjanice; M. Pocześniakowska, Katowice; H. Arciuszkiewiczowa, Grodno; A. Rotter, Kraków; Kaz. Stróżak, Kraków; K. Badorówna, Kraków; inż. J. Modrzejewski, Lublin; G. Bartoszewska, Poznań; St. Effert, Poznań; M. Kubiszowa, Poznań; W. Nowacka, Poznań; kpt. Hauschild, Nowy Targ; L. Pogoda, Jaworzno; J. Doroszkiewicz, Królewszczyzna; Z. Eljaszewicz, Królewszczyzna; Cz. Kozłowski, Warszawa; A. Lorenzówna, Poznań; J. Witczak, Toruń; J. Dobrowolska, Toruń; M. Poćwiardowska, Toruń; ks. L. Klementowski, Tarnopol; Z. Baczyńska, Kałusz; Zdz. Fischbach, Września; Bezrobotny Świetliczanin, Szopienice; Wł. Pochmarski, Lwów; „K. W. Radom", H. Tomaszewska, Warszawa; Stan. Landau, Sosnowiec; Z. Gerlitz, Warszawa; Z. Płaszyński, Oświęcim; G. Nakowska, Warszawa; W. Kortylewicz, Poznań; Sz. Rybczyk, Rzeszów; A. Piekosińska, Brzezowiec; W. Rogalska, Kraków; Sternschuss, Raków; J. Witoszyński, Przemyśl; Opielińska, Sroda; Edw. Walterówna, Warszawa; **Aleksander Biernacki, Kazimierza Wielka (zł. 20.—)**; Z. Adamowiczowa, Warszawa; Irka i Zymek z Żychlina; L. Nieczuja-Ihnatowicz, Gdynia; Ant. Szukata, Warszawa; Stan. Dudzio, Skarżysko; J. Kuleszo, Wilno; A. Borowicz, Poznań; W. Ossowiczowa, Piastów; M. Patryas, Leszno; Franc. Wiśniewski, Warszawa; M. Plewińska, Warszawa; M. Steculanka, Kalisz; J. Zapiór, Kraków; „Jotel"; Kajetan Łabuzek, Kraków; B. Jawień, Kraków; M. Zapiór, Kraków; „Styczeń"; Janek S., Warszawa; D. Piekosinska, Brzezowiec; Kaz. Chendyński, Nowa Wieś; M. Jarochowska, Gdynia; H. Czaplina, Poznań; Ir. Popiołkówna, Pabjanice; „Niunia", Rzeszów; T. Burman, Kraków; Miecz. Kozłowski, Kraków; W. Kamiński, Grudziądz; **Józefa Szymańska, Dębienko Stare (zł. 10.—)**; por. Aleks. Lotter, Toruń; Wład. Bułka, Brodnica; Mich. Adamczyk, Węgrów; I. Wajsfeld, Pińczów; J. Janczewski, Wilno; Wład. Boner, Lwów; Wład. Chmiel, Kraków; J. Englert, Lwów; H. Turowiczowa, Kraków; „Helenka", Prokocim; M. Pachówna, Kraków; T. Cieszewski, Wilno; M. Reutt, Wilno; H. Chruścielska, Łódź; „Irka Olek i Jaśka", Kraków; J. St. Suliński, Kowel; M. Fischler, Lwów; K. Kubiczek, Kraków; E. Dergiman, Wilno; L. Lenartowski, Poznań; J. Świerczyńska, Lwów; Kaz. Lapop, Warszawa; H. Frankowska, Bitków; M. Albrzykowski, Kraków; L. Boroński, Kraków; H. Makarewicz, Ostrowów; St. Jabłoński, Prokocim; D. Herbstmanówna, Warszawa.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Zbigniewa Jaworskiego, Stanisławów (zł. 30.—), Aleksandra Biernackiego, Kazimierza Wielka (zł. 20.—) i Józefę Szymańską, Dębienko Stare (zł. 10.—).

Redakcja „Światowida" prześle wyżej wymienionym nagrody niebawem.

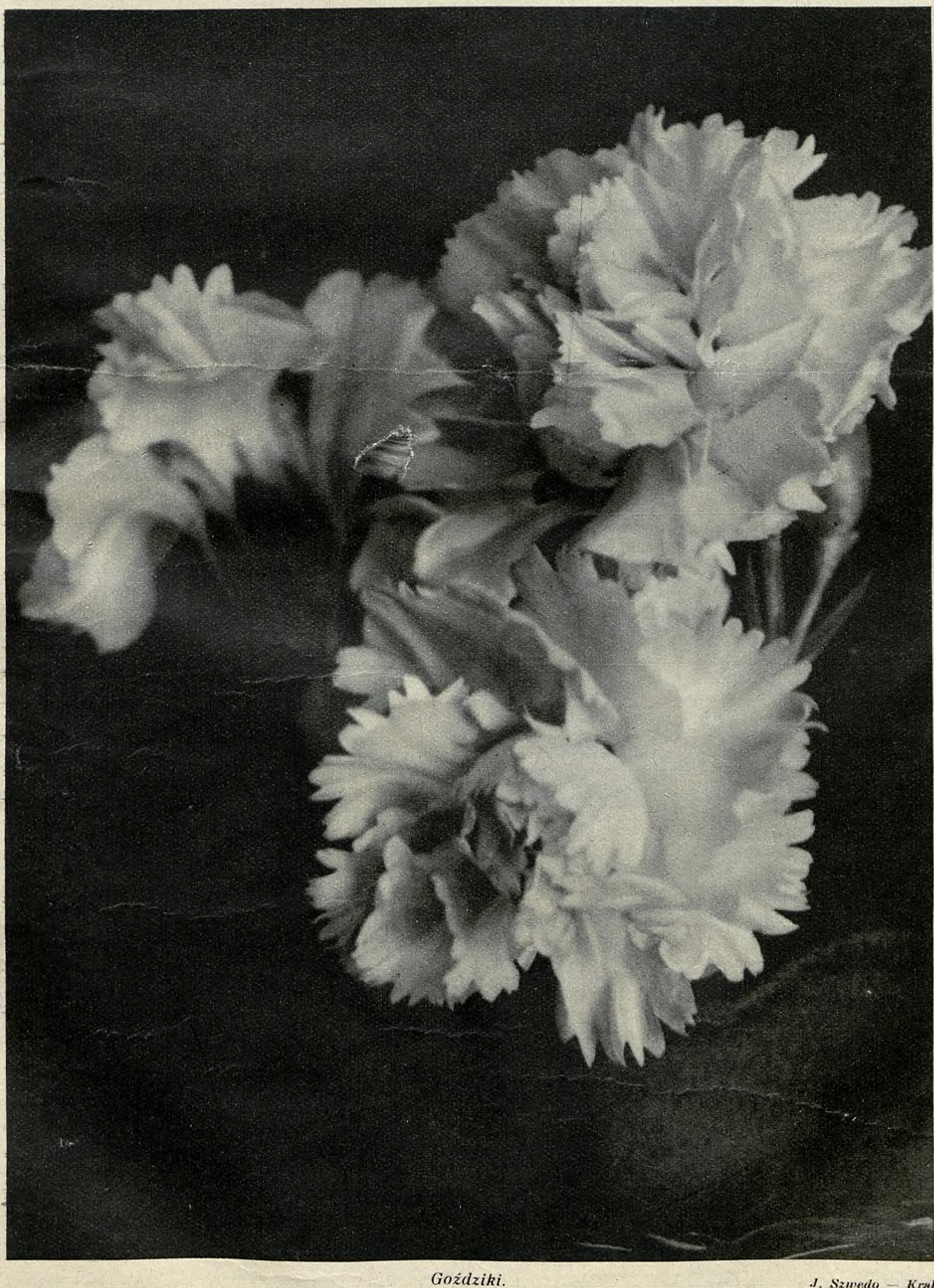
Kącik Fotoamatora.

Kwiaty.

Któż na ten wyraz odruchowo nie naprowadzi swych myśli na miłe wspomnienia, nieraz bowiem przesyłał je z listem, w którym wyjawiał swe uczucia. Która z pań na widok przesłanej wiązanki goździków nie wymówi: „Ach, jaki on miły!".

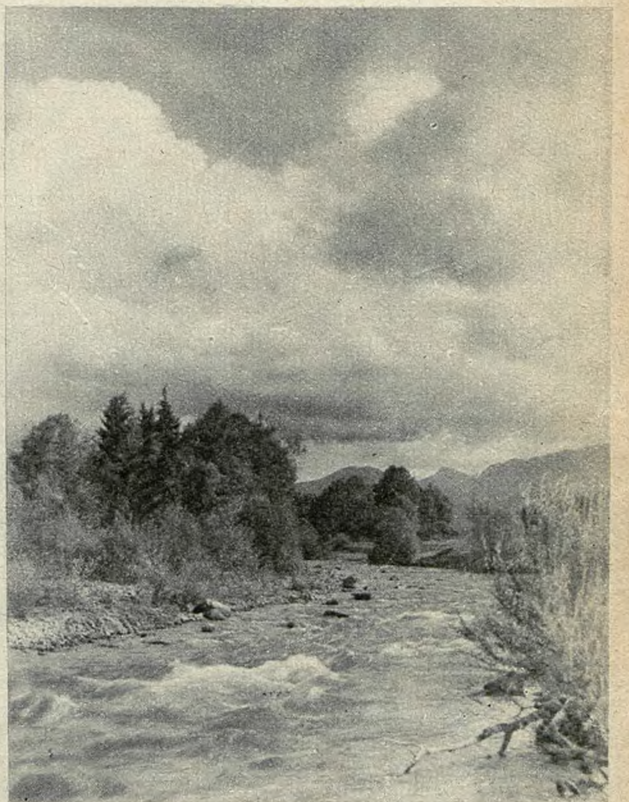
Nie chcę jednak się rozwodzić, jaki wpływ wywierają kwiaty na serce, ale jak należy je fotografować, gdy ścięte są ozdobą naszego mieszkania. Jak przy wszystkich zdjęciach, w których chodzi nam o wydobycie maksimum ustosunkowania walorów barw, tak i przy fotografowaniu kwiatów konieczne jest zastosowanie kliszy ortochromatycznej, względnie panchromatycznej. Ustosunkowanie barw potęgujemy jeszcze przez zastosowanie filtra, którego odcień zależny jest od koloru zdejmowanych kwiatów. Należy zwrócić uwagę na tło, na którem kwiaty fotografujemy, ażeby przez korzystne jego zastosowanie podnieść walory rysunku i uwypuklić charakterystykę. Pomimo zastosowania klisz, filtrów i tła, kwiaty wymagają umiejętnego operowania światłem, ono bowiem jest tym czynnikiem, który przynosi nam po wywołaniu kliszy zadowolenie.

Często widzimy, że zdejmowane kwiaty są wykonywane przy blendzie, bardzo małej. Jest to zasadniczy błąd, albowiem przez umiejętne operowanie blendą uzyskujemy miękkość rysunku i subtelność modelu, co przy kwiatach jest rzeczą niepośledniej wagi. Dlatego też lepiej jest dokładnie obserwować na matówce model, poczem przy najkorzystniejszem przyblendowaniu dostosować czas naświetlania. J. Szw.



Goździki. *J. Szwedo — Kraków.*

Chmury i woda.



Reprodukujemy zdjęcie p. wizytatora Władysława Miedniaka z Katowic, które zasługuje na wyróżnienie ze względu na doskonałe oddanie waloru chmur i górskiego potoku.

Kącik krytyczny.

WŁADYSŁAW POCHMARSKI, LWÓW. Zdjęcia przeciętne, na wyróżnienie zasługują „zdjęcia z pociągu" lecz zbyt mały format nie pozwala na reprodukowanie.

CO POLECAJĄ FIRMY FOTOGRAFICZNE?

REWELACYJNA OPATENTOWANA NOWOŚĆ. Ze sfer przemysłowych donoszą nam, że ukazał się pod nazwą „Nowator" aparat do powiększeń zdjęć miniaturowych (Leica, mniejszych od Leica, 3×4 i części 4×4) do światła dziennego lub sztucznego o stałej ostrości. Aparatem tym można wykonać powiększenia od 6½×9 do 18×24 w sposób zadziwiająco prosty, nastawiając pewien drążek na ściśle określony znak podziałki. Aparat umożliwia powiększenie wycinków negatywu zapomocą wymiennych ramek, obracalnej naokoło swej osi, części optycznej oraz wziernika; ramki zaś maskują powiększenie (5 mm białego brzegu). Do równomiernego rozpraszania światła służy szybka opalowa, którą wymienić można na kondenzator. Nader precyzyjne i estetyczne wykonanie aparatu pod osobistą kontrolą wynalazcy p. Inż. A. Scharfa ze Lwowa, przyczyni się zapewne do wzbogacenia rynku fotograficznego przyrządem, który stanie się chlubą krajowej wytwórczości.

Cena dostosowana do czasów obecnych, bo aparat wyposażony w optykę Rodenstocka 1:4,5 kosztuje zaledwie *zł. 100.—*.

Bliższe szczegóły w prospektach, które otrzymać można we wszystkich składach przyborów fotograficznych. Do miejscowości, w których prospektów otrzymać nie można, wysyła je bezpłatnie firma: **JAKÓB SCHARF**, Katowice, 3 maja 32, albo oddział lwowski: Lwów, ul. Sykstuska 22.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego" w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KĄCIK FOTOAMATORA z Nr. 5 „ŚWIATOWIDA"

KUPON Nr. 5 upoważniający do losowania nagrody za rozwiązanie zagadek z dnia 28 stycznia 1933 r.

DOLCE FAR NIENTE NA ŚNIEGU.

